

nadodrze

ZIELONA GÓRA 27 XI—10 XII 1988 R.
ROK XXXII NR 24 [681] CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Jak inżynier K. wypadł za burzę

PANIENKI

WIOSKA ŚMIERCI

SCENY miłosne

POŁOWANIE NA GRUBEGO ZWIERZA

Ta interesująca miejscowość powiatowa w okręgu Lueneburg, nad rzeką Aller, skąd do hanzeatyckiej Bremy zaledwie 30 km, doczekała się już wielu opracowań. To przecież tutaj, w Verden, już w roku 985 późniejszy cesarz Otto III przekazał biskupowi Erpo prawa rynkowe, prawo bicia monety i pobierania cła.

Najbardziej szacownym zabytkiem jest strzelista, licząca blisko tysiąc lat katedra, kryta miedzianym dachem. Znajdują się w niej m.in. grobowce dostojników kościelnych, tron biskupa i kamienna chrzcielnica, a pod murami — piękny krużganek. Podobno siedem wysokich okien witrażowych ufundował tej katedrze dla odkupienia swoich grzechów pewien pirat morski nazwiskiem Klaus Stoebecker.

nym pomieszczeniu redaguje ten powiatowy dziennik. Prawie każdy korzysta ze swego komputera. Podczas wystukiwania tekstu na takiej maszynie, na monitorze ukazuje się jego treść, a po przekazaniu do centrali gazety trafia on wkrótce na monitor do drukarni i tam jest łamany w kolumny na zasadzie fotokładu. Żadnego pośrednictwa prasy, dalekopisu, żadnych linotypów, ani też jego składania czcionek... Szybko,

rodem z Zielonej Góry, w ich domu przy ulicy Froebla, z udziałem moich gospodarzy małżeństwa Vasen. Oglądamy video-film z pobytu w Verden we wrześniu ub. roku Lubuskiego Zespołu Pieśni i Tańca. Młodzi zielonogórzanie tańczą i śpiewają przed ratuszem, potem na deptaku, niedaleko katedry. Następne kadry pokazują sekretarza ambasady polskiej w Kolonii — Jarosława Drożdża w rozmowie z ojcami miasta i powiatu Verden oraz przedstawiciela Wydziału Kultury i Sztuki UW w Zielonej Górze — Jana Zelka, który dziękuje gospodarzom za gościnę. (Zespół ten odwiedził ponownie Verden w czerwcu br.).

Jakże były początki tej współpracy? Roland Hellmann tuż przed świętami Bożego Narodzenia pamiętnego 1981 roku trafił zupełnie przypadkowo do Zielonej Góry z transportem lekarstw, jako konwojent i kierowca równocześnie. Jadąc do Polski z pomocą charytatywną, dowiedział się we Frankfurcie nad Odrą, że ze względu na stan wojenny nie dostanie w naszym kraju benzyny na powrót. Zdecydował więc, że pojedzie do najbliższego miasta wojewódzkiego. Wybór padł na Zieloną Górę.

Na drodze rozjechał przez wozy pancerne — zimno, śnieg, lód. Patrole polskich żołnierzy. Niedowierzają. Pierwszy zachodnio-niemiecki samochód, który w stanie wojennym chce przekroczyć granicę w Świecku. Co on tam wiezie? Ale wkrótce wszystko się wyjaśniło. Hellmann dotarł szczęśliwie z lekarstwami do celu. Później poznał w Karpaczu swoją przyszłą towarzyszkę życia Małgorzatę, z którą razem już przywoził lekarstwa dla Szpitala Wojewódzkiego i dary dla Pogotowia Opiekuńczego w Zielonej Górze. Gdy trzy lata temu założono w Verden Niemiecko-Polskie Towarzystwo, dotychczasowe kontakty z naszym miastem zostały poszerzone o wymianę kulturalną i zawodową. M.in. urządzono wystawę malarstwa i grafiki Wandy Kościuszkiewicz, występy chórów kościelnych i akademickiego, odbyły się wizyty zielonogórskich lekarzy i farmaceutów w Verden. Niedawnym wyrazem tych kontaktów ze strony niemieckiej była wystawa w Bibliotece Wojewódzkiej w Zielonej Górze, ukazująca dorobek tego powiatowego miasta Dolnej Saksonii.

6 PAŹDZIERNIKA

Zawieram nowe znajomości. Poznają niemieckie małżeństwo Elfriede i Jürgen Jaromin, pochodzą z Goldapi. Są nauczycielami. Ona uczy polskiego i rosyjskiego, on — matematyki. Ogromnie sympatyczni, wrażliwi, zakochani w pol

Notatki zza Łaby

To tylko 520 kilometrów...

Romuald Szura

Zresztą, wiekowe w tym mieście są nie tylko budowle sakralne. O różnych wydarzeniach historycznych Verden mogłyby opowiedzieć niejedna kamieniczka w rynku pełna ornamentów, niejedna uliczka, liczne rzeźby i pomniki.

Z początkiem października br. przyjechałem tutaj razem z malarzką Małgorzatą Kuźniar i historykiem sztuki — Grzegorzem Chmielewskim na zaproszenie Niemiecko-Polskiego Towarzystwa w Verden, które niedawno nawiązało współpracę z Towarzystwem Przyjaciół Zielonej Góry. Dwutygodniowy program naszego pobytu wypełniony był po brzegi różnymi imprezami, spotkaniami z miłośnikami kultury polskiej, przedstawicielami różnych zawodów, z Niemcami i Polakami, z tzw. mieszanymi małżeństwami (niemiecko-polskimi), których w RFN jest coraz więcej.

Oto niepełny dziennik pobytu za Łabą.

2 PAŹDZIERNIKA

Zamieszkałem u dziennikarza Petera Vasen w Doerwerden (15 km od Verden) w jego willi nad Weserą. Zona ma na imię Friederike i jest nauczycielką w gminnej szkole Ciepło, przytulnie. Przy kominku rozmawiamy o Polsce. Oboje są bardzo życzliwi i ciekawi świata na wschód od Łaby. Nigdy jeszcze nie byli w naszym kraju i chętnie by go odwiedzili.

3 PAŹDZIERNIKA

Odwiedzam redakcję gazety „Verdener Aller Zeitung”, w której pracuje nowy znajomy pan Vasen. Dwunastu dziennikarzy w jednym olbrzymim, jas-

sprawnie i mało... romantycznie. W Verden wydawana jest również konkurencyjna gazeta „Verdener Nachrichten”. Objętość obu dzienników waha się w granicach od 24 do 36 stron. Obok szpału, które wypełniają tzw. wielka polityka i wydarzenia na świecie, każde miasteczko, każda gmina tego mikroregionu ma swoje własne stronicę. Interes obu gazet kwitnie, ponieważ czytelnicy to w 80 procentach stali abonenci no... są dochody z reklam.

Później wernisaż wystawy malarstwa Małgorzaty Kuźniar we wnętrzu Powiatowej Kasy Oszczędności. Jest to wydarzenie dnia i gromadzi sporą grupę przyjaciół naszej kultury. Dr Grzegorz Chmielewski przedstawił dorobek twórczy artystki, a samego otwarcia wystawy, w słowach wyrażających sympatię i uznanie dla jej sztuki, dokonał dyrektor banku — Klaus Brandes.

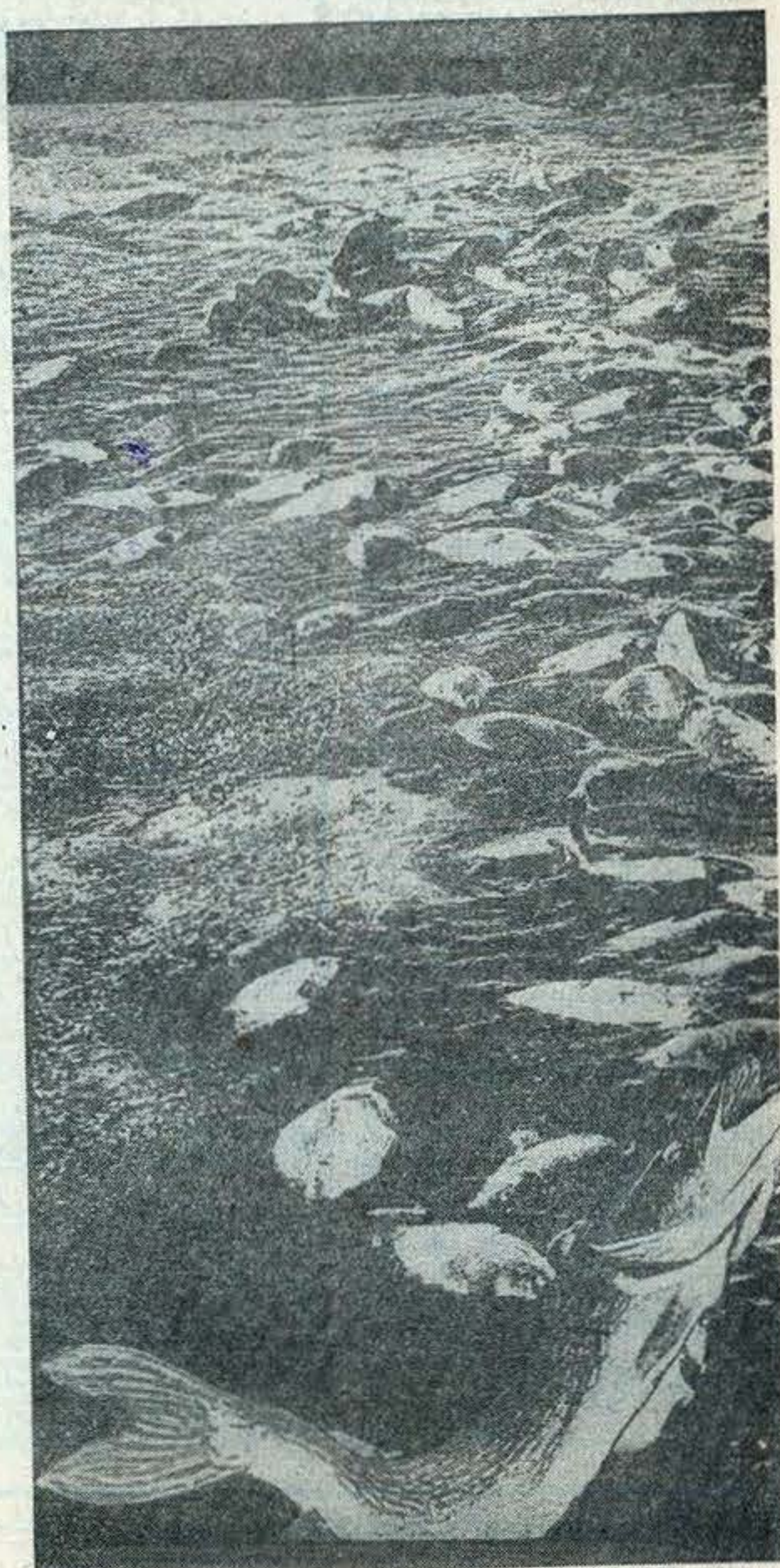
M. Kuźniar podarowała Niemiecko-Polskiemu Towarzystwu na pamiątkę swoją pracę olejną „Zielone Miasto”, która ma ozdobić ratusz miejski.

Wśród gości spotkałem „starych” znajomych, m.in. malarkę Ingeborgę Heider, która w kwietniu br. wystawiała swoje collage w galerii PSP w Zielonej Górze. Od dzisiaj pełnić będzie honory pani domu wobec zielonogórskiej plastyki (wszyscy przebywamy tutaj na zasadzie wymiany bezdewidowej) i ma zapoznać naszą koleżankę z osobliwościami życia artystycznego Verden i okolicy.

5 PAŹDZIERNIKA

Kolacja u przewodniczącego Niemiecko-Polskiego Towarzystwa Rolanda Hellmanna i jego polskiej małżonki Małgo

Z wystawy fotografii Czesława Łuniewicza, zatytułowanej „Organizacja przestrzeni”, eksponowanej w Galerii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze (recepta Jana Muszyńskiego) czytaj na str. 8)



Ciąg dalszy na str. 4

Opinie i Refleksje

Po amerykańskich wyborach

Po zwycięstwie, nie przebiegającej w śródkałach walce między kandydatem republikanów Georgem Bushem i kandydatem demokratów Michaelem Dukakisem, ten pierwszy wybrany został czterdziestym pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, republikanie zaś po raz piąty odnieśli sukces, wprowadzając swojego człowieka do Białego Domu. Jest jeszcze jeden szczegół aktualnych amerykańskich wyborów do odnotowania: oto po raz pierwszy od 150 lat dotychczasowy wiceprezydent w ekipie urzędującego prezydenta zajął w rezultacie wyborów jego miejsce. Jest to fenomen aktualnej amerykańskiej sceny politycznej, nie pozbawionej do końca wpływów będącego przy władzy do 20 stycznia 1989 r. prezydenta Ronalda Reagana, z którym George Bush był silnie powiązany. Nie ukrywał on bowiem ani w trakcie batalii wyborczej, ani tuż po wyborach, że jego celem będzie kontynuacja polityki wykreowanej przez swego mentora, którą lansował pod hasłem „pokój i prospero”.

Co prawda demokraci i sam Dukakis usiłowali zdezawuować to hasło, wskazując na pogarszające się warunki życia wielu Amerykanów, zwłaszcza w stanach okraślanych mianem „rust belt”, czyli „pas rdzy”, na potrzeby stworzenia Funduszu dla Przebudowy Ameryki, którego zadaniem byłoby finansowanie regionalnych programów rozwoju gospodarczego, budowy mieszkań, poprawy sytuacji oświaty, rolnictwa, ograniczenia narastającego bezrobocia, ochrony środowiska itp. kosztem ograniczenia zbrojeń.

Alle George Bush, doświadczony i wytrawny polityk także o tym mówił, inaczej tylko rozkładając akcenty, zaś Amerykanie, jak ludzie na całym świecie, którym w sumie nie jest źle, nie skłonni do eksperymentów, chcieli mu wierzyć, zwłaszcza kiedy mówił: „Chcę być prezydentem całego społeczeństwa i pracować w imię nadziei i interesów nie tylko moich zwolenników, lecz także zwolenników gubernatora Dukakisa. W imię pokoju i dobrobytu”.

W tym sensie i nasze opinie nie wiele się różnią od amerykańskich. Akceptujemy wolę kontynuacji rozpoczętego trzy lata temu, ważnego z punktu widzenia interesów nie tylko Ameryki, lecz całego świata odprężeniowego dialogu, czego wyrazem jest zapowiedź wizyty w Stanach Zjednoczonych w początkach grudnia br. Michaila Gorbaczowa, który będzie gościem prezydenta Reagana i prezydenta elekta Busha.

Bush co prawda oświadczył, że nadal utrzymują się różnice poglądów pomiędzy supermocarstwami w takich sprawach jak kontrola zbrojeń, prawa człowieka, konflikty regionalne, wyraził jednak nadzieję, że kontynuowany będzie taki dialog, który służy interesom obu stron i interesom świata.

Nie należy jednak mieć złudnych nadziei, że uda się szybko wszystko załatwić. Świat bowiem wstrząsany tyłoma nie rozwiązanymi dotąd konfliktami, staje w obliczu nowych cywilizacyjnych wyzwań, którym może stawić czoło tylko wspólnymi siłami. Świadomość tego rośnie po obu stronach i to jest jedna z gwarancji tego dialogu. Dodatkowo umacnia ją fakt zwiększenia roli demokracji w amerykańskim parlamencie — Kongresie, co jest także rezultatem wyborów. „New York Times” uważając taki układ za słuszny pisał, że „jest to sytuacja, w której każda poważna decyzja poddawana będzie dokładnej ocenie i wszechstronnej dyskusji. Oczywiście jest to układ, który może być kłopotliwy dla prezydenta, w szczególności, jeśli nie będzie posiadał wystarczająco wiele autorytetu, aby przekonać, że jego polityka jest słuszną i korzystną dla kraju”.

W imię pokoju i dobrobytu nie tylko Stanów Zjednoczonych.

STANISŁAW DERESZ

Z prasy zagranicznej

O „gospodarkę podziemną”, czyli przestępczym, drugim obiegu gospodarczym w ZSRR i o sposobach walki z tym zjawiskiem pisze na łamach PRAWDY ekonomista W. Jaroszenko. Oto główne tezy tego artykułu:

Istotą problemu jest z jednej strony deficyt towarów w dobrym gatunku, towarów powszechnego użytku; z drugiej natomiast zawalenie rynku „niechodliwa” produkcja niskogatunkowa — stwierdza W. Jaroszenko.

Deficytowa gospodarka doprowadziła już do tego, że pojawiła się u nas osobliwa mentalność i terminologia. Zamiast „sprzedają”, „kupili”, — zaczęliśmy mówić „zrucili”, „dostaliśmy”. I pieniądze — to już nie są pieniądze! Naruszona została

chodów gospodarki drugiego obiegu. Jest to jednak na pewno wiele miliardów rubli, a starty gospodarcze, jakie przynosi ono każdemu roku krajowi, są z pewnością znacznie wyższe. Zyski osiągnięte przez świat przestępcy oraz wartość powodowanych przez strat w gospodarce państwa wej znacznie przewyższają wydatki z funduszy socjalnych na pomoc dla najbardziej potrzebujących warstw ludności: emerytów i inwalidów, wielodzietnych rodzin i studentów, mieszkańców domów dziecka. Gdyby więc udało się przeprowadzić pomyślną ofensywę przeciwko drugiemu obiegowi gospodarczemu, to można byłoby znacznie podnieść poziom życia prawie stu milionom obywateli radzieckich — właśnie tym, którzy najbardziej potrzebują pomocy.

trzy bardzo ważne sprawy. Pozwoliłoby to: 1) określić poziom dorobku społeczeństwa, jego siłę nabywczą oraz tempo wzrostu z uwzględnieniem różnych kategorii pracowników; 2) ujawnić bądź faktycznie postawić lub prawem osobników bogactw, podatkami. Deklaracja o dochodach i wydatkach służyłaby jako środek silnego ekonomicznego i psychologicznego oddziaływania przede wszystkim na system przestępczości zorganizowanej. Społeczeństwo, przeciwko któremu dokonuje się przestępstwa gospodarcze, ma prawo sięgać w ramach samoobrony po skutecznie działające środki ekonomiczne.

W niektórych krajach istnieje praktyka operatywnego rozpatrywania przez sądy drobnych przestępstw, bez wszczynania sprawy karnej, kiedy to „sędzia dyżurny” wymierza kary grzywny w wysokości od dziesięciu do stu razy przewyższające wartość wyrządzonych strat. Tego rodzaju środki byłyby bardzo skuteczne w walce z milionami złodziei zakładowych, którzy słownie pustoszą gospodarkę narodową. Kara w wysokości 300 rubli przy cenie 3 rubli za przywłaszczenie w fabryce cukierków pudełka słodyczy, będzie efektem niejszą niż jakikolwiek sąd koleżeński i ostrzeżenie nie tylko złodziei już „praktykujących”, ale i potencjalnych.

Dzisiaj tylko niewielka część przestępstw popełnianych jest przeciwko życiu, honorowi i godności obywateli radzieckich. Większość przestępstw ma na celu bezprawne wzbogacenie się — czyli są to przestępstwa gospodarcze. Logicznym w związku z tym jest założenie, że najbardziej skutecznymi sposobami walki z gospodarką drugiego obiegu winny stać się przede wszystkim bariery i sankcje ekonomiczne. Niezbędny jest zespół przemysłowych, zrównoważonych działań w tym zakresie.

Szczególnie ważne jest przywrócenie ludzom poczucia, iż są rzeczywiście gospodarzami w swoim zakładzie pracy. Wówczas z mafią gospodarczą walczyć będą aktywnie nie tylko organy ochrony porządku prawnego i organy finansowe, ale również miliony robotników, chłopów, urzędników. Jednym ze skutecznych środków ekonomicznych sprzyjających tej walce mogłoby stać się rozprawienie wśród załóg obligacji lub akcji rozwojowych darym, bez prawa odsprzedaży ich osobom trzecim. Takie swego rodzaju „akcyjne” bądź „rodzinne” przedsiębiorstwa zatrzasną drzwi przed grabieżcami.

Jest jeszcze inny sposób walki z przestępczością gospodarczą — system imiennej sprzedaży mienia o wartości przekraczającej trzy tysiące rubli. Kiedy państwo sprzedaje osobie prywatnej na przykład samochód, to zna nie tylko jej nazwisko, ale również masę innych użytecznych danych. Do niedawna można było spotkać i

inną sytuację: do sklepu „Agat” przychodził klient i wyjmował z torby 25 tysięcy rubli, by zapłacić za brylantowy naszyjnik. A państwo nie znało nawet jego imienia ani imienia jego ojca, żeby podziękować za zakup. Odsprzedaż takiego majątku winna także odbywać się wyłącznie za pośrednictwem instytucji państwowych.

Można zaproponować podziemnym milionerom, aby przed wypełnieniem po raz pierwszy deklaracji o dochodach i wydatkach anonimowo przekazali na konto licznym u nas funduszy społecznych (kultury, dziecka itp.), te zbyteczne setki, tysiące i miliony rubli, które i tak będzie bardzo trudno spożytkować w warunkach nowego systemu podatkowego.

Wprowadzeniu takiej deklaracji winno towarzyszyć przyjęcie ustawodawstwa dotyczącego walki z korupcją, kradzieżami, malwersacją, spekulacją i innymi przestępstwami gospodarczymi. Na przykład, przy istnieniu wielkiego, niepotwierdzonego dokumentu majątku, prokuratora winna mieć prawo wystąpienia do sądu o jego całkowitą konfiskatę, nawet bez konieczności przedstawienia bezpośrednich dowodów, że został on zdobyty w sposób niedozwolony. W takim przypadku sąd winien rozstrzygnąć: czy pracownik sklepu mięsnego Grisza bądź student Gosza, jeżdżący „Mercedesem” mogli zaoszczędzić, powiedzmy, ze stypendium 100 tysięcy rubli? Jeśli pieniądze te zostały zdobyte nieuczciwie, wówczas należy je w całości przekazać państwu (na przykład: na potrzeby domów dziecka) i nie mieć przestępstw wyliczaniem konkretnych przypadków naruszenia przez nich prawa.

Drugim niezbędnym uzupełnieniem istniejącego ustawodawstwa winna być konfiskata majątku i kara długolennego więzienia za nieplacenie podatków. Byłoby to w pełni sprawiedliwe — przecież ukrywane są właśnie te dochody, które uzyskuje się w sposób nielegalny. Dlatego też niemal na całym świecie uchylanie się od placenia podatków oceniane jest i karane jako najcięższe przestępstwo kryminalne, równoznaczne z rabunkiem.

Należałoby konieczność wprowadzić również podatek progresywny — im wyższe dochody, tym większy procent składowy na rzecz państwa. Niesprawiedliwa jest sytuacja, kiedy „książę” i „zebrał” placą ten sam procent od uzyskanego dochodu. Przecież dla gorzej sytuowanych rodzin każdy procent podatku ma większą wagę i znaczenie niż dla rodzin lepiej sytuowanych. Dlatego sprawiedliwość społeczna wymaga zastosowania własnego podatku progresywnego. W niektórych krajach dodatkowe zyski obłożone są podatkiem sięgającym 80 procent. A dlaczego my nie mielibyśmy skorzystać ze światowych doświadczeń?

Nastał czas, aby wprowadzić deklarację o dochodach i wydatkach, podatek progresywny i inne sposoby walki z gospodarką podziemną, z przestępczym drugim obiegiem gospodarczym. Nakazuje nam to samo życie — kończy swoje wywody W. Jaroszenko.

Książęta i zebracy

podstawowa funkcja pieniądza, jako powszechnego ekwiwalentu ekonomicznego. To, że pieniądze trudno zarobić, zawsze było czymś normalnym i naturalnym. Jednak to, że jest je trudno wydać — jest niepokojące.

Gospodarka chronicznego deficytu obraża honor i godność obywateli ZSRR. Dziesiątki milionów pracowników zmuszone są występować w roli prosiących, aby móc nabyć te materialne wartości i usługi, które sami przecież wytwarzają. Powstał więc lomilardowy czarny rynek towarów i usług. Ogromne sumy pieniędzy nieustannie przechodzą z rąk do rąk, omijając państwową kasę.

Liderzy drugiego obiegu gospodarczego nie tylko, że umiejętnie wykorzystują chroniczny deficyt, ale jeszcze go sami sztucznie tworzą. Przykład: przedstawiciele przemysłu twierdzą, że mogliby w pełni zaopatrzyć właścicieli samochodów w przednie szyby. Jednakże mafia handlowo-usługowa rozmyślnie zaniża w swych oficjalnych zamówieniach faktyczne zapotrzebowanie na poszczególne części zamienne. A klient zmuszony jest przepłacać za szybę, której „nie ma” w sklepie, ale za to jest na czarnym rynku.

Państwowemu Komitetowi ZSRR ds. Statystyki trudno dokładnie określić sumę do-

Jak jednak walczyć z przestępcami gospodarczymi? Nie można już tego robić starymi metodami, gdyż gospodarka drugiego obiegu podjęła w swoim czasie odpowiednie działania ochronne. Powstały dublujące struktury zarządzania, które niekiedy działają równoległe ze strukturami oficjalnymi, częściej jednak są z nimi „spokrewnione” — poprzez tworzenie skorumpowanej administracji w organach władzy państwowej i gospodarczej. Struktury drugiego obiegu opracowały i wprowadzają w życie własne reguły gry, własne taryfy: ile kosztuje stanowisko, ulga, nagroda; a także własny system podatkowy: każdy niżej stojący szczebel przestępstwa przekazuje część „zysków” szczeblowi wyższemu, aż po „ojców chrystnych”. Im wyższy szczebel, tym większe „podatki”. Stworzone zostały swego rodzaju podatkowe piramidy, na których szczytach, poza wszelką kontrolą i krytyką, odkrywamy że zdiwieniem istnieje to Szecełokowa, to Czurbanowa, to Raszdowa, to...

W. Jaroszenko przedstawia propozycje dotyczące sposobów zwalczania gospodarki drugiego obiegu. Ogromną rolę mogłoby odegrać w tym zakresie wprowadzenie nowego systemu podatkowego, opartego na jednolitym dla wszystkich oświadczeniu o dochodach i wydatkach. Dzięki takiemu ustawodawstwu można byłoby rozwiązać

AGROMIASTA

Z łamów rumuńskiej prasy nie schodzą pojęcia „systematyzacja” i „modernizacja”. Przedstawiamy opracowanie, w którym wykorzystano materiały SCINTEI, REVISTA ECONOMICA, ERA SOCIALISTA oraz dane z rocznika statystycznego Socjalistycznej Republiki Rumunii.

Istotą systematyzacji i modernizacji wsi wyjaśnia na łamach tygodnika REVISTA ECONOMICA dr arch. Alexandru Budisteanu, szef centrum systematyzacji Instytutu Badawczo-Projektowego ds. systematyzacji osiedli i gospodarki komunalnej. Podkreśla on, że jest to proces o szerokich następstwach dla rozwoju wsi. Ich idea, zgodnie z niejednokrotnymi oświadczeniami Nicolae Ceausescu, jest zmniejszenie, a nawet zlikwidowanie istotnych różnic między wsią a miastem, duże zbliżenie warunków życia i pracy na wsi i w miastach.

Przemianom urbanistycznym towarzyszyć ma rozwój przemysłu terenowego i usług, co pociągnie za sobą zlikwidowanie sezonowości pracy na wsi i zwiększenie dochodów jej mieszkańców. Jednocześnie nastąpić ma zahamowanie wzrostu dużych miast na rzecz bardziej intensywnego rozwoju w mniejszych. Oczekuje się też silniejszego powiązania sieci osiedleńczej z systemem działalności społeczno-gospodarczej.

Modernizacja urbanistyczna kraju, która ma być zakończona w 2000 r., nie jest zjawiskiem nowym. Towarzyszy socjalistycznym przemianom w Rumunii, a zintensyfikowana została po IX zjeździe partii, który funkcję sekretarza generalnego powierzył N. Ceausescu. W pierwszej fazie objęła ona przemysł i miasta. W następstwie wieloletniej, wysokiej akumulacji, rocznie przekraczającej niejednokrotnie 30 proc. dochodu narodowego, nastąpiło uprzedmiotowienie wszystkich województw. Wykładnia tego procesu jest średni wskaźnik co najmniej 200 robotników na 1000 mieszkańców w każdym z nich. Liczba miast wzrosła do 237, zaś ich mieszkańców do 6,1 mln w 1965 r. do 11,9 mln obecnie. Stanowi to 51,5 proc. populacji kraju. Planowane w najbliższych kilku latach zakończenie procesu budowy miast zwoiniło moce budowlane, które postanowiono przeznaczyć na wies.

Z inicjatywy N. Ceausescu podjęto zakrojony na szeroką skalę proces przebudowy rumuńskiej wsi, od którego oczekuje się m.in. odzyskania dla rolnictwa ok. 300 tys. ha ziemi, przy uprzątlonych obecnie 15 mln ha koncentracji życia społeczno-gospodarczego w terenie w miasteczkach agroludalnych, zahamowania odlotywnych ludzi ze wsi, by nie dościsli, jak to stało w woj. Gorj i Mehedintu, do braku

siły do pracy w gminnym przemyśle. Sprzyjać temu ma utworzenie silnych miejscowości z zakładami przemysłowymi i usługowymi w tym charakterystycznymi dla wsi zakładami tkackimi, odzieżowymi, garncarskimi, szkołami średnimi o odpowiednim profilu, ośrodkami zdrowia, domami kultury, centrami administracyjno-handlowymi. Zakładane zbliżenie warunków życia między wsią a miastem wspierać powinno, jak się oczekuje, procesy homogenizacji społeczeństwa Rumunii.

Obecnie na wsi rumuńskiej panuje duże zróżnicowanie. 2705 gmin obejmuje średnio 5 wsi i liczy przeciętnie po 4194 mieszkańców. Od tych statystycznych wskaźników zdecydowanie odbiega rzeczywistość. Do 1291 gmin należą co najwyżej po 2-4 wsi, do 107 — od 5 do 10, zaś do 119 — przeszło 10. Tylko z jednej wsi składa się 163 gmin. Ogółem w Rumunii istnieje 13,123 wsi, liczące średnio po 890 mieszkańców (siedziby gmin — po 2000). Na 100 km. kw. przypada w Rumunii 5,4 wsi.

Na mocy ustawy z 1974 r. nr 68 w sprawie systematyzacji oraz postanowień ubiegłorocznej konferencji partyjnej, ukształtowana przez wieki sieć gminno-wiejska zostanie zmodyfikowana. Powstanie 558 miasteczek agroludalnych, a więc silnych ośrodków administracyjnych, gospodarczo-społecznych i kulturalnych, z którymi powiązanych będzie różnymi więzami po kilka gmin. Liczba gmin ma być zredukowana o kilkadziesiąt, a wsi — mniej więcej o połowę. Jednocześnie ustalony zostanie optymalny rozmiar gmin pod względem obszaru administracyjnego i rolnego, a także liczby ludności i wsi.

W przyszłych miastach agroludalnych funkcjonować mają małe i większe zakłady przemysłowe i usługowe, a także jednostki rolne. Tam też znajdą siedzibę placówki oświatowe, kulturalne i ochrony zdrowia. Jak szkoły, ośrodki kulturalno-twórcze „Cintarea Romaniei”, szpitale na 100 łóżek z oddziałami położniczymi i apendektomii. Planuje się również budowę innych obiektów, jak łaźnia, piekarnia, targ, kompleks sportowy. Miasteczka owe będą siedzibami rad rolniczo-przemysłowych tj. organów polityczno-administracyjnych, koordynujących całą działalność na terenie podległych im gmin.

Dyrektor Budisteanu w jednym z październikowych numerów SCINTEI stwierdził, że w procesie systematyzacji i modernizacji uwzględniane będą następujące kryteria: wartości i tradycje historyczne, etnograficzne i społeczno-gospodarcze miejscowości. Szczególną troską zostaną otoczone wsi o znaczeniu symbolicznym dla współczesnych. Podstawowa sprawa, według niego, jest organizacja sieci osiedleńczej w sposób zapewniający jej harmonijny rozwój. W procesie odnowy rumuń-

skiej wsi — jak stwierdził — jej podnoszenia na nowy poziom cywilizacji, co wymaga czasu, trzeba będzie rozwiązać wiele problemów. Małe wsi, pozbawione perspektywy, praktycznie rzecz biorąc, będą zanikać. Obecnie bardzo wiele liczy do 50 mieszkańców w podeszłym wieku, którzy nie przenieśli się do miasta tylko ze względu na swój wiek. Istnieją wsi, które w następstwie naturalnej ewolucji ludności, ograniczają swą produktywność. Jaką perspektywę — pyta autor — mają osiedla oddalone o 5-6, a nawet do 12 km od centrów gminnych, o zabudowie mocno już zniszczonej?

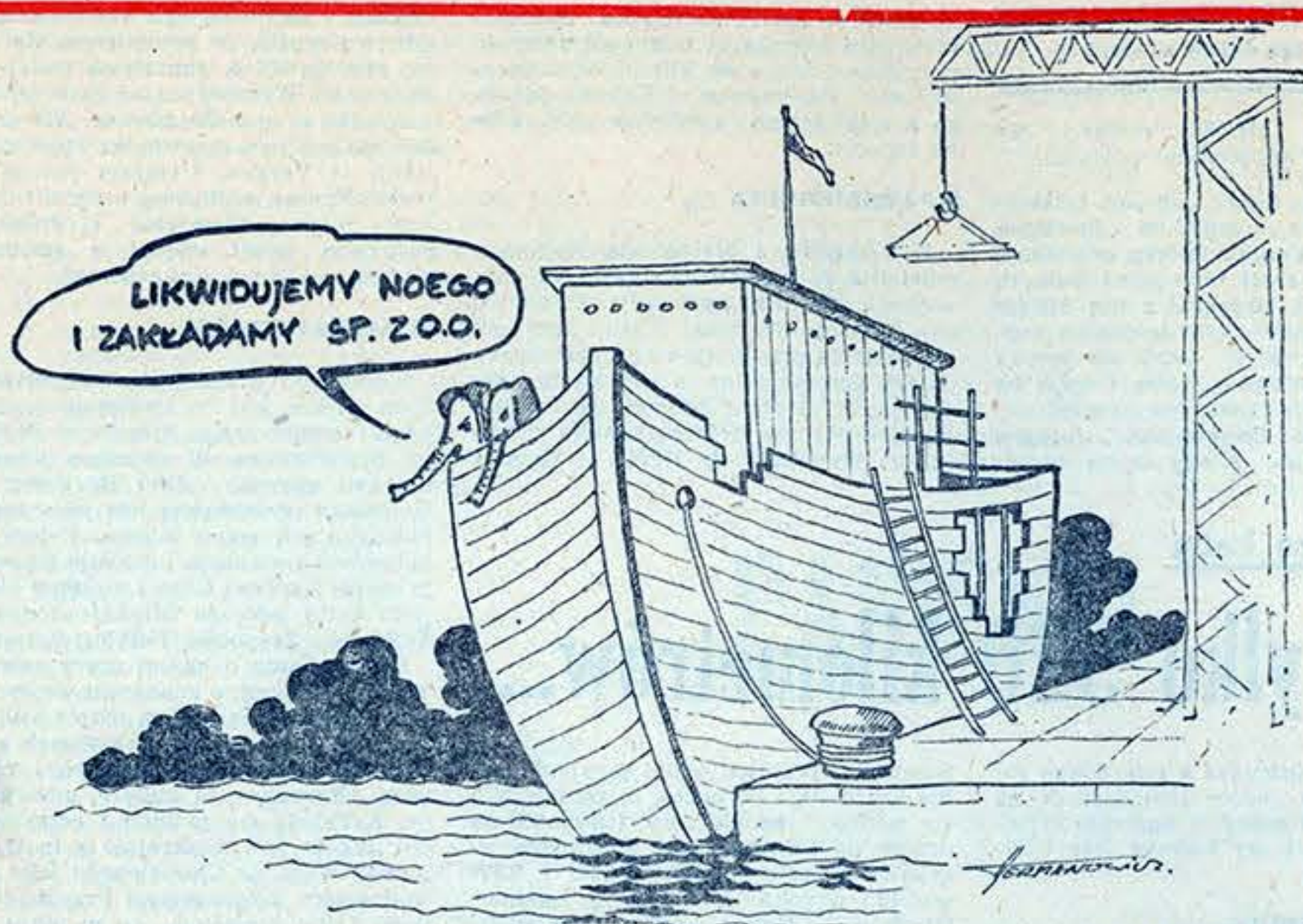
Stanowisko najwyższych władz rumuńskich w sprawie systematyzacji zostało zaprezentowane kolejny raz pod koniec sierpnia br. w czasie roboczej wizyty N. Ceausescu w siedmiogrodzkiej gminie Pecica. Przywódca partii i państwa powiedział wówczas, że podczas modernizacji należy doprowadzić do konsolidacji ważnych osiedli wiejskich, stabilizacji ich mieszkańców, rozwoju działalności przemysłowej i usługowej, wzrostu jakości życia w przyszłych miasteczkach agroludalnych. Nie powstaną one zresztą w ciągu

2 czy 5 lat. Zdaniem N. Ceausescu rozpocząć trzeba od umocnienia bazy gospodarczej gminy, wzrostu produkcji rolnej, organizacji materialnego zaplecza dla szkolnictwa, usług socjalnych, budowy do 1985 r. centrum administracyjnego. Casy proces przemian powinien następować łożownie, etapowo, z umiejętnym łączeniem starego z nowym, z zapewnieniem w pierwszym rzędzie poprawy codziennego życia ludzi. W myśl tej koncepcji Pecica ma się stać miasteczkiem agroludalnym w pełnym tego słowa znaczeniu do 2000 r., co się powszechnie uznaje za maksymalny termin ukończenia rozpoczętej systematyzacji wsi.

Przypominając wreszcie trzeba, że przeniesienie do bloków chłopci mają mieć zapewnione działki o powierzchni ok. 250 m kw. Obecnie z jednej szóstej arealu rolnego, jaki stanowią przyzgodowe działki spóldzielców oraz nielegalne gospodarstwa indywidualne, pochodzi 1/4 krajowych zbiorów zboża, ponad połowa ziemniaków i owoców, prawie połowa warzyw, przeszło połowa drobiu, 60 proc. mleka, 50 proc. jaj i owoce węgny (dane z rocznika statystycznego za 1986 r.).



rys. SŁAWOMIR URBAŃSKI



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

— Nagle znalazłem się jakby za burtą, po prostu tak sobie, bez uzasadnienia wyrzucono mnie z pracy w Państwowym Gospodarstwie Rolnym, które od wielu lat było moim statkiem. Tak więc dziś sobie myślę, że jestem jak ten człowiek za burtą. Ale nie wolam: ratunku! Dam sobie przecież radę.

Wydzierżawie trochę ziemi gdzieś pod miastem, będę ją uprawiał, zbierał plony... Kocham ten zawód rolniczy, związałem się z nim, teraz trzeba będzie samemu, nie jak dawniej w zespole, w peerelowskiej rodzinie. Tylko domagam się sprawiedliwości. A ona oznacza dla mnie publiczne wyjaśnienie: jakie były motywy, jakie

Zakład Rolny w Skwierzynie podczas pracy inżyniera Klobusa znacznie rozwinął swoją produkcję, z roku na rok powiększając również dochody. Za rok gospodarczy 1985/86 w pracowni 31,5 mln zł zysku. W latach 1987—88 regres rentowności, jaki dotknął zakłady bledzewskiego kombinatu, tu był na poziomie naj-

Zbigniewa Mokrzyckiego z Rakowa. To oni m.in. mogli poświadczyć, że dyrektor dopiero po swojej decyzji jeździł do peerelowskich załóg i buntował przeciwko mnie. W efekcie Sąd Rejonowy z powodu nie zachowania trybu prawnego w rozwiązaniu ze mną umowy o pracę przyznał mi odszkodowanie od Kombinatu w wysokości 98 tys. zł. Uważam oczywiście, że to odszkodowanie winien wypłacić mi z własnej kieszeni dyrektor Jaworski. Niestety, on tego nie zrobi, gdyż wyjechał służbowo na Zachód i tam po-

Jak inżynier K. wypadł za burtę

Krzysztof Klon

przyczyny wręczenia mi wypowiedzenia z pracy? Niech ludzie wiedzą.

Tadeusz Klobus, z wykształcenia inżynier rolnik, ma lat 37, jest członkiem PZPR, pochodzi z peerelowskiej rodziny, związanej od wielu lat z bledzewskim kombinatem, z jego różnymi zakładami rolnymi.

— Ojciec chyba ze trzydziści siedem lat kierował zakładem rolnym w Zemsku. Ja właśnie tam w 1972 roku rozpocząłem pracę zawodową, jednocześnie dokształcając się. Rozpocząłem tam jako pracownik fizyczny, później byłem magazynierem wydającym części zamienne do sprzętu rolniczego. Zżyłem się z robotnikami rolnymi.

Tymczasem zakład rolny w Zemsku rozrastał się, stawał się jednym z lepszych w bledzewskim kombinacie. Zapadła więc decyzja o utworzeniu nowego zakładu, w Skwierzynie. Tadeusz Klobus został jego kierownikiem. To był rok 1984. W tym czasie dyrektorem kombinatu był Jan Makiewicz, jego zastępcą Karol Jaworski.

— Z panem Makiewiczem współpracowałem mi się bardzo dobrze — powiada inżynier Klobus. — Rozumieliśmy się, ja go szanowałem, on doceniał moją pracę. Gdy więc został przeniesiony do pracy w gorzowskim Zrzeszeniu PGR, byłem pierwszym, który na różnych zebraniach protestował, wyrażał swoje ubolewanie, że tracimy tak dobrego bezpośredniego szefa. Warto przecież w tym miejscu wspomnieć, że nasz kombinat znajdował się wśród najlepszych nie tylko w województwie, lecz również w całym kraju. Oczywiście, moje protesty na nie się zdały, ale... naraziłem się jego zastępcę, który objął stanowisko dyrektora naczelnego. Od tego czasu byłem „solą w oku” mgr inż. Karola Jaworskiego.

— W czym się to przejawiało? — W służbowych i osobistych kontaktach, w tworzeniu wokół mojej osoby niedobrej atmosfery, klimatu po deirzliwości i nieufności. Kiedyś, pamiętam to dobrze, dyrektor powiedział do mnie: — Nie mogę patrzeć, jak ktoś robi sabotaż.

— O co mu konkretnie chodziło?

— W skwierzyńskim zakładzie kierowałem hodowlą owiec, bydła i trzody oraz produkcją suszu. Zdarzyło się raz, że na 1800 owiec 140 nagle zdechło. Badania weterynarza wykazały, że zachorowały na listeriozę, miały pałeczki salmonelli. A przecież wszystkie owce pozostawały pod stałą opieką zootechnika i on był bezpośrednio odpowiedzialny za ich zdrowie. Tymczasem dyrektor właśnie mnie udzielił nagany za brak nadzoru, a właściwie za niedbałość w produkcji zwierzęcej. Odwołałem się, lecz moje odwołanie pozostało bez odpowiedzi. A był to przecież wypadek losowy. Choć przyznaję, że częściowo — jako szef zakładu — byłem w tym jednym przypadku również winien. Uważam jednak, że karę należy wymierzać sprawiedliwie.

— Co to znaczy sprawiedliwie?

— To w moim pojęciu oznacza równomierny podział zarówno nagród jak i kar. Nikt tak zupełnie jednoosobowo nie jest odpowiedzialny za wszystko. Na różnych szczeblach zarządzania,

niższym. Ale też wiele pieniędzy weszło w skład, zdołano ułożyć w nowe inwestycje i poprawę warunków socjalno-bytowych załóg.

— Jestem przekonany, że udało nam się wiele zrobić w zakładzie — stwierdza jego były szef. — Oto na przykład zmodernizowaliśmy suszarnię do suszenia zielonek i zbóż, zamontowaliśmy dmuchawę do chłodzenia ziarna, wybudowaliśmy kosztowny 12 mln zł warsztat mechaniczny, w czym bardzo pomogła część załogi wykonując wiele prac społecznie. Wreszcie — wybudowaliśmy jadalnię i salę na zebrania. Stworzyliśmy właściwe warunki do spożywania posiłków regeneracyjnych. W Trzebieziewie zmodernizowaliśmy pomieszczenie dla owiec, w Rakowie — jałownik do produkcji żywej wieprzowiny. Łącznie te inwestycje pochłonęły około 30 mln zł, rocznie na te cele przeznaczaliśmy około 15 mln zł. Po prostu zakład budowałem od podstaw. I osiągnąłem to, co zamierzałem, m.in. wzrost dyscypliny i wydajności pracy. Pozbywałem się obiboków i pijaków. Na ciężkich do uprawy ziemiach, leżących tuż przy korycie Warty i często zalewanych, siedmiu pracowników zajmowało się stu hektarami. To nie było przełicznik.

— Ale jednak niektórzy pracownicy przychodzili do Komitetu Partii w Skwierzynie ze skargami na pana...

— Owszem, wiem o tym. Ale to byli ci, z którymi musiałem, niestety, dla dobra zakładu rozstać się. Zresztą, było ich niewiele. Odeszło tylko kilka osób: cztery osoby czasowo w związku z powołaniem do wojska, je dno została aresztowana, dwu musiał odejść za pijanstwo, siedmiu pracowników porzuciło pracę m.in. ze względu na brak mieszkania. Tak wygląda prawda.

— To jednak nie przysparzało panu przyjaźni.

— Wiedziałem o tym. Ale wymagałem od siebie jak i od pozostałych pracowników rzetelnej pracy.

— A jednak jak kapitan swego statku wypadł pan nagle za burtę... — Choć przeczuwałem, że moje osobiste animozje z dyrektorem Jaworskim mogą się dla mnie źle zakończyć, nie przewidywałem tak nagłego epilogu. Otrzymałem trzymiesięczne wypowiedzenie warunków pracy i płacy, podpisane przez dyrektora bez opinii rad pracowniczych zakładu i przedsiębiorstwa oraz związków zawodowych. Nie było żadnego uzasadnienia. Ale podpisałem je 13 maja tego roku przestając chodzić do zakładu. Nie mogłem się jednak pogodzić z tak nieformalnym załatwieniem mojej sprawy. Wniosłem pozew do Sądu Rejonowego w Międzyzdrojach o wypłacenie mi odszkodowania.

— A dlaczego nie o przywrócenie do pracy?

— Bo poczułem się zbyt mocno urażony, potraktowany niesprawiedliwie, zdeprecjonowany. Teraz już chodziło mi tylko o to, aby wykazać, że dyrektor Jaworski działał autokratycznie, nie liczył się z opinią organizacji społecznych. Na świadków powołałem członków Rady Pracowniczej — Genowefę Mrowicką z Trzebieziewa i

został. Pokwitowałem przekaz z pieczęcią Kombinatu. Zapłaciła cała załoga... Czy to jest sprawiedliwe?

Inżynier Klobus ze skróconej wypowiedzenia wyjął plik dokumentów, wśród nich dwie opinie. O sobie i o swojej pracy.

Dyrektor Jaworski w styczniu 1987 roku podpisał taką o nim opinię: „Jest pracownikiem ambitnym, pracowitym, chłonnym wiedzy praktycznej i teoretycznej. Jest kierownikiem dbającym o pracowników ale jednocześnie bardzo wymagającym. W zakładzie, w którym pracuje, zaprowadził dyscyplinę pracy. Pomimo trudnej funkcji kierowniczej udziela się również społecznie. Jest dobrym organizatorem. Uczestniczy w wielu pracach na rzecz Zakładu jak i środowiska, w którym żyje. Ob. Klobus jest człowiekiem spokojnym, bezkonfliktowym, zasługującym na pełne uznanie”.

Inżynier Tadeusz Klobus, jako kan dydat na radnego w tegorocznych wyborach, otrzymał następującą rekomendację, podpisaną przez Eugeniusza Wojcyla, I sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej: „Wrażliwy na sprawy ludzkie, sumienny, dyscyplinowany, wykazuje duże zdolności organizacyjne i doświadczenie zawodowe, dba o produkcję i wydajność pracy kosztem wielu wyrzeczeń, posiada umiejętność w kierowaniu ludźmi”.

Wiek jak to się stało, że inżynier Klobus nagle wypadł za burtę swego statku? Odpowiedź nie jest prosta.

W jednym z numerów „Ziemi Gorzowskiej” ukazał się reportaż, poświęcony „rozrobom” personalnym w bledzewskim Kombinacie. Nawiązując do tytułu tej publikacji „Podgrzanie”, w numerze „ZG” z 28 października br. ukazał się list Tadeusza Klobusa, w którym pisał on m.in.: „16 lat było mi dane pracować w PGR Bledzew. Byłem tam kierownikiem, zapracowanym, budowniczym, mając do pomocy załogę niedoświadczoną w produkcji roślinnej, zwierzęcej i budownictwie. (...) Układało się do momentu rozrób wywołanych przez ludzi z zewnątrz w 1986 r. (...) Było jednak ciężko, bo Dyrektor (inż. Jaworski — nasz przyp.), którego nie popierałem w rozrób, „podgrzyzał” mnie próbował od roku 1987. Mimo to do końca maja 1988 przyznawano mi zwiększone premie motywacyjne. Pragnę z czystym sumieniem napisać, że żadnych zaniedbań w produkcji nie miałem.

Na zakończenie chcę publicznie podziękować na łamach prasy, bo inaczej nie dano mi możliwości, za wspólną pracę organizację społeczno-polityczną na terenie gminy Bledzew i Skwierzyna. Osobne podziękowania dla kolegów, koleżanek a przede wszystkim załogi „mojego” Zakładu za całą dobrą robotę.

Jeszcze raz podkreślam, że odwołanie mnie ze stanowiska kierownika Zakładu Rolnego w Skwierzynie, nastąpiło tylko na skutek osobistych uprzedzeń byłego Dyrektora PGR Bledzew...”

No, tak. Jeśli już wypaść za burtę, to z godnością.

Wokół powstania listopadowego

Witold Dworzyński

Istotnym czynnikiem mającym duży wpływ na genezę listopadowej insurekcji było niedotrzymanie obietnic Aleksandra co do ziem litewsko-ruskich. Art. 5 traktatu finalnego podpisanego w Wiedniu w dniu 3 maja 1815 roku stanowił, że car granicę polską na wschodzie może „poszerzyć” wedle własnego uznania, w praktyce była to obietnica powiększenia Królestwa o ziemie II i III zaboru rosyjskiego.

Obietnicę tę Aleksander podtrzymał oświadczając I Sejmowi w Królestwie w kwietniu 1818 roku. Powiedział wtedy m.in.: „Spełniają się wasze i moje życzenia... Wzniesie się do wysokości waszego zadania. Skutki prac waszych nauczą mnie, czy wierny mój przedsięwzięciem będę mógł nadal rozszerzać to, co już dla was uczyniłem”. Obietnicę tę były podstawą milczącego porozumienia między dworem petersburskim a uprzywilejowanymi warstwami Królestwa (w tym większością generalicji). Naród z początku przyjął tę deklarację jako rzecz naturalną. Był to jednak tylko wybieg taktyczny cara, który chciał w ten sposób zjednać sobie polską opinię publiczną.

Komentując to J. Łojek pisał: „(...) nie gwałty konstytucyjne w Królestwie w latach 1819—1830, nie nadużycia władzy ani bezsensowne łamanie praw obywateli Królestwa, lecz nade wszystko ujawnienie fikcji owego porozumienia stało się po kilku latach źródłem ogólnej ewolucji nastrojów plebejskiej opinii publicznej, która wbrew nastrojowi środowisk uprzywilejowanych, przyniesie miady w końcu wybuch powstania”.

Równie ważkim czynnikiem, który spłogował powstające nastroje, był rozwój sytuacji międzynarodowej. Społeczeństwo Królestwa łapczywie podchwytowało wiadomości dotyczące zwłaszcza udanego powstania czy rewolucji w jakimkolwiek zakątku Europy. Pierwsze sygnały zaczęły napływać do Polski już w 1821 roku z Grecji, gdzie wybuchło powstanie przeciw Turcji, zakończono uzyskaniem przez Greków niepodległości w 1830 r. Największe jednak wrażenie wywarły w Królestwie wiadomości o wybuchu Rewolucji Lipcowej we Francji w 1830 roku i obaleniu króla Karola X. W sierpniu wybuchło powstanie Belgów przeciw panowaniu holenderskiemu, także zakończono powodzeniem Wydarzenia te były bardzo obszernie relacjonowane w prasie warszawskiej, która w miarę możliwości przedrukowywała doniesienia gazet zachodnich.

Uczestnik szturmowania na Arsenale w nocy 29 listopada, K. Lewandowski, wspominał: „Revolucja francuska (...) każdemu mieszkańcowi Polski wtrącała myśl chycenia za broń”. Takie właśnie było znaczenie wydarzeń belgijskich i francuskich. Dali one impuls który zelektryzował społeczeństwo polskie, daly przykład zwycięskiej walki przeciw uciskowi, zrodziły nowe nadzieje. Trafnie i pięknie napisał o tym historyk francuski de Guichen: zastanawiając się w odczycie z 1931 roku nad wpływem Rewolucji Lipcowej, nazwał ją „wiatrem wolności i niepodległości, który wiał od Francji i ogarnął także Polskę, która wszczęła rewolucję”.

Obraz przyczyn powstającego zrywu w 1830 roku byłby niepełny bez uwzględnienia działalności tajnych związków w Królestwie. W świetle tezy dotychczasowej historiografii polskiej wydawać się może, że egzystencja Królestwa przebiegała pod znakiem działania konspiracyjnych ugrupowań, wywierających ogromny wpływ na całą sytuację polityczną i nastroje opinii publicznej Królestwa — aż do chwili wybuchu powstania w nocy 29 listopada. Jest to jednak sąd w dużym stopniu uproszczony. Stwierdzić bowiem należy, że działalność konspiracyjna w Królestwie wynikała z przeświadczenia jej organizatorów, iż istotnym zamiarem cara Aleksandra I jest odbudowa zjednoczonej Rzeczypospolitej w unii z Rosją, że wobec tych zamysłów tworzy się w Rosji silna opozycja „nacionalistyczna, a więc trzeba pomóc władcy w realizacji jego zamierzeń. Zasadniczą ideą programową Towarzystwa Patriotycznego, założonego w 1821 przez majora Waleriana Łukasiewskiego, wyraził gen. A. Kosinski w swojej deklaracji politycznej: „Polaczenie Polski własnymi naszymi siłami, bez pomocy jednego z mocarstw jest niepodobniestwem. Lecz które z nich może nam być użyteczne? Austria i Prusy są nieprzyjaciółmi imienia Polaka. Rosja już nam zrobiła coś przeciw, tej więc trzymać się należało. Trzeba nam zapomnieć krzywd, których doznaliśmy (...) Czas to wszystko załagodzić, a korzyść z połączenia Polski dla nas wszystkich wyniknie, potrafią wynagrodzić te momentalne cierpienia”.

W swych pamiętnikach Łukasiewski wyraża, że słowa Kosinskiego przypadły mu głęboko do przekonania. O zad-

nej walce z Rosją o polską niepodległość nie marzył, wszystkie nadzieje swojej konspiracji wiązał z imperatorem Aleksandrem I. Po rozgromieniu sprzysiężenia Łukasiewskiego w latach 1821 (pierwsza zdrada) — 1824 (sąd nad Łukasiewskim) i resztek spiskowców działających pod wodzą ppłk S. Krzyżanowskiego w 1826 r. konspiracja narodowa w Królestwie Polskim faktycznie nie istniała. Odrodziła się dopiero w 1828 roku i do historii przeszła pod nazwą „sprzysiężenia Piotra Wysockiego”.

Spiskowcy w nim skupieni przysięgali „przed Bogiem i Ojczyzną naszą ujarzmioną, odartą z praw i przywilejów konstytucyjnych (...) połączyć wszystkie usiłowania, poświęcić życie, gdy tego będzie trzeba, w obronie zgwałconej ustawy konstytucyjnej”. A więc nie było mowy o walce o wyzwolenie Polski spod panowania rosyjskiego.

Najwybitniejszy znawca powstania listopadowego, prof. W. Tokarz, napisał, że Wysocki stworzył „jedyną w swoim rodzaju sprzysiężenie bez ideologii własnej, którego celem miało być rewolucja, posiadająca sankcję kierownictwa jawnej, legalnej polityki narodu, rewolucja, której sprawcy z góry zamysłali sobie usta by na drugi dzień po wybuchu zniknąć ze sceny”. Do wybuchu jednak doszło, lecz prawdopodobnie nie by się nie wydarzyło, gdyby nie sytuacja europejska a zwłaszcza zamierzona interwencja cara Mikołaja I w Belgii przy użyciu korpusu polskiego oraz wykrycie przez władze konspiracji. Wia domość o rozkazie mobilizacji armii Królestwa na grudzień, okazała się przysłowiową iskrą na beczkę prochu. Atakiem grupy cywilów na Belweder w nocy z 29 na 30 listopada rozpoczęło się Powstanie Listopadowe — największe, lecz zaprzeczona szansa polska w XIX wieku na wstąpienie do łona państwa w jego upadku.

Powstanie listopadowe objęło swym zasięgiem tylko obszar Królestwa Polskiego, choć jego echa docierały również do innych dzielnic polskich, jak choćby do Wielkopolski, skąd wyruszyła garść ochotników, aby pomóc walczącym rodakom. Znalazł się wśród nich również Maciej Mielżyński, mieszkający w owym czasie w Chobienicach, koło Wolsztyna.

Wiadomość o walkach w Warszawie przyniósł Mielżyńskiemu jeden z przyjaciół na początku grudnia. Wieści tej pan Maciej spodziewał się już w lipcu, gdy dowiedział się o rewolucji w Paryżu, tożę przyjął ją ze spokojem. Po krótkich przygotowaniach przyjaciele wyruszyli do Warszawy.

Mielżyński walczył w Poznańskim Pułku Ułanów. Jako szeregowy ułan brał udział między innymi w bitwie pod Grochowem. Doświadczył się stopnia rotmistrza. Był również adiutantem generała Chłapowskiego i uczestniczył w dowodzonej przez niego wyprawie na Litwę. W trakcie jednej ze stoczonych potyczek zginął brat Macieja, Ignacy.

Korpus gen. Chłapowskiego w lipcu 1831 roku przekroczył granicę Prus i został internowany. Z obozu dla internowanych Mielżyński zbiegł wraz ze swym bratem Sewerynem na angielskim statku kupieckim i wyładował w Paryżu. Stąd po różnych perypetiach przez Berlin i Sulechów wrócił do Chobienic.

Wkrótce został aresztowany, a po zwolnieniu musiał złożyć zeznania przed urzędem miejskim w Wolsztynie. Następnie stanął przed sądem w Poznaniu i został skazany na 9 miesięcy twierdzy, grzywnę oraz utratę stanowiska radcy Ziemstwa Kredytowego.

Karę początkowo odbywał w Poznaniu, później zaś w Świdnicy. Tutaj do kończył swą książkę pt. „Epizod z wojny 1831 roku”, która w 2 lata później została wydana w Strasburgu. Po wyjściu z więzienia pozostał gorącym patriotą, a ponieważ nigdy nie starał się tego ukryć, spotykały go różne przesładowania ze strony władz pruskich. Zmarł w 1870 roku.

Podobnych przykładów można by podać więcej, gdyż z pomocą powstańców wyruszyło z Wielkopolski 1629 osób cywilnych oraz 1355 żołnierzy, którzy zdezerterowali z armii pruskiej. W szeregach armii powstańczej znalazł się również ochotnik z Kostrzyna. Był to kolejny dowód, że sztucznie stworzone przez zaborców granice nie mogą trwale rozdzielić narodu polskiego, który i wtedy, i w latach późniejszych, niejednokrotnie w krytycznych dla ojczyzny momentach potrafił zespolic swe wysiłki.

Pod sztandarem wolności

Tradycje masonskie są żywe do dzisiaj i nadal propagowane w Ameryce Łacińskiej. Masonami byli m.in. tacy wybitni przywódcy ruchu niepodległościowego i antykolonialnego na tym obszarze jak Simon Bolívar oraz gen. José de San Martín, który założył w 1812 r. w Buenos Aires lożę wolnomularską „Lautaro”, uważając, że zgromadzeni w niej politycy powinni kierować z ukrycia losami nowego państwa. Był republikaninem, lecz nie odrzucał monarchii.

Wytrawny znawca historii Ameryki Łacińskiej, prof. Tadeusz Lepkowski stwierdził, że: „Z racjonalizmu oświeceniowego wyrastał typowy dla liberałów antyklerykalizm, wykrywany w lożach masonskich. Wolnomularstwo było w omawianej epoce (XIX w. — W.H.) a la mode, zwłaszcza w klasach wyższych i po części średnich. Jako czynnik formujący opinię, więcej jako grupa nacisku, masoneria odgrywała w latynoamerykańskim życiu politycznym nader ważną rolę”.

W toku wojen o niepodległość krajów Ameryki Łacińskiej ujawniły się dwa oblicza rewolucji, dwa jej nurty: elitarny i ludowy. Współżyły ze sobą dwa etnosy: Libertadorów i plebejskich rewolucjonistów. Sierali się ze sobą dwie taktyki wojenne, dwie filozofie walki: wojna regularna i gue rilla. Wyzwoliciele — to ludzie Wiedzy Światłej; byli zamożni i głęboko ideowi. Ich rewolucja była rewolucją „elit” ale antykolonialną. Plebejusze symbolizowali rewolucję „dół” społecznych, walczący o niepodległość, nie zależność ekonomiczną, sprawiedliwość i równość rasową. Oba nurty często się uzupełniały.

Spotkałem Czcigodnych Braci w 1979 r. podczas pobytu na Kubie, w miejscowości Vinales, leżącej w prowincji Pinal del Rio. Brat Filomeno Guillermo Martinez przyjął mnie serdecznie, lecz nie ukrywał, z aciekawieniem. Oświadczył mi, iż pragnie zwiedzić miejscową lożę. Spelniał moją prośbę. Tak oto znalazłem się w masonskiej świątyni. Wśród „narzędzi” odnalazłem młotek, cyrkiel, ekierkę, szpady, świeczniki siedmioramiennne, fartuszek oraz liczne wydawnictwa.

Brat Guillermo Martinez wręczył mi na pamiątkę masonski emblemat, swoją wizytówkę oraz egzemplarz niewielkiej rozprawki dra Antonio de Villara poświęconej sylwetce Grajalesa Maco (1848-1896), Mulata, wybitnego bojownika o niepodległość Kuby, uczestnika powstania przeciw Hiszpanom w 1895 r. Zginął w Punta Brava i czczony jest dzisiaj na Kubie jako bohater narodowy, obok takich przywódców jak José Martí i Fidel Castro.

Warto pokrótce przywrócić się sylwetce autora tej rozprawki. Antonio de Villar urodził się w 1890 r. w Hawanie. W 1920 r. uzyskał stopień doktora pedagogiki, a w rok później filozofii na Uniwersytecie w Hawanie. Masonskie wtajemniczenie uzyskał w 1916 r. w loży „Pe Masonica”, a w 1930 został Wielkim Mistrzem Wielkiej Loży na Kubie. Był autorem licznych książek z zakresu historii Kuby, historii literatury w Ameryce Łacińskiej, oraz dyplomata. Pełnił m.in. funkcje ambasadora Kuby w Hiszpanii (1952-1956) oraz Wenezueli (1957-1958). Wielka Loża Kuby mieści się prawie w samym centrum Hawany. Jest to kilkunastopiętrowy budynek, u wejścia zaś widnieje napis: Gran Templo Masónica. Obowiązkami Wielkiego Mistrza i Wielkiego Suwerennego Inspektora Generalnego pełnił w latach siedemdziesiątych Juan José Tarajano Gonzales, obowiązków zaś Wielkiego Sekretarza Eduardo R. Lopez Bobadilla.

Na kilku niższych piętrach Wiel-

kiej Świątyni mieści się uniwersytet masonski. Posiada pięć wydziałów: filozoficzny, społeczno-ekonomiczny, pedagogiczny, handlowy i teorii muzyki. Wykłady prowadzą wybitni profesory nie tylko z Kuby, ale także z innych krajów Ameryki Łacińskiej. Uniwersytet jest instytucją prywatną, opłata za naukę jest dość wysoka, bowiem wynosi rocznie kilkaset dolarów. Lecz spośród ponad 800 studentów, większość korzysta ze stypendiów fundowanych przez loże prowincjonalne.

Kraży opinia, iż uczelnia ta posiada wyższy poziom nauczania, aniżeli analogiczne wydziały Uniwersytetu Hawańskiego. Ma ponadto opinię lewicową. To tu właśnie 8 kwietnia 1958 r. rozpoczął się strajk generalny, którego celem było udzielenie poparcia powstaniu Fidela Castro. Strajk szerzył się on na inne uczelnie Kuby, a później na zakłady pracy. Niestety, zakończył się niepowodzeniem, a policja Fulgencio Batisty krwawo rozprawiła się z jego organizatorami, lecz dla rewolucji miał znaczenie nieposłuszeństwo.

Kubańska masoneria udzieliła swego poparcia Fidelowi Castro. Wielu braci walczyło w szeregach rewolucji socjalistycznej. Warto również odnotować znamienity fakt. Otóż pierwszy rewolucyjny czyn Fidela Castro — atak na koszary Moncada w Santiago de Chile był przygotowany w loży „Evolucion”, w małym miasteczku Artenusa. Znał on również oficjalne wystąpienie przeciw dyktatorskim rządóm Fulgencio Batisty.

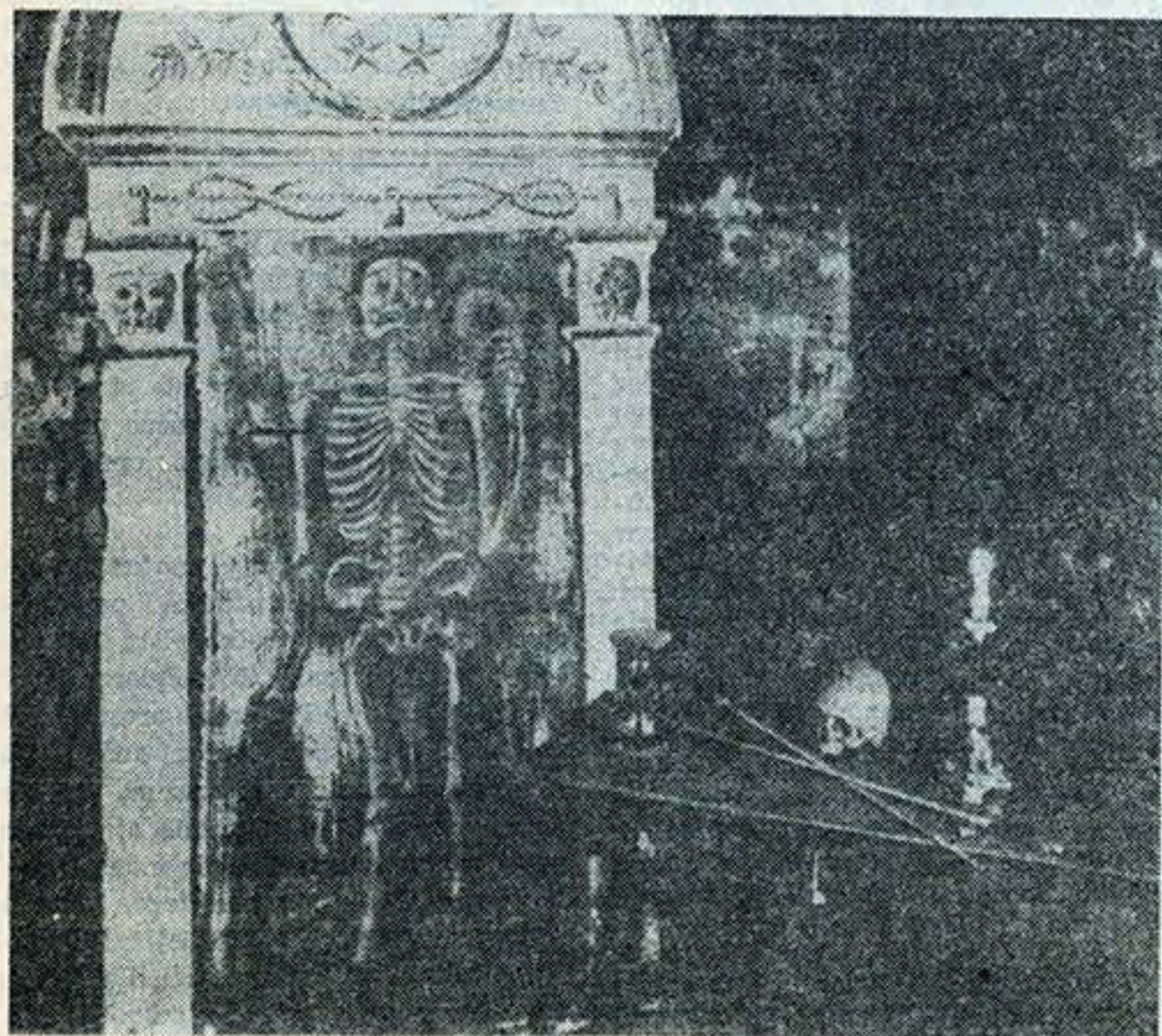
Obecnie masoni wyrażają aprobatę dla socjalistycznych przemian na Kubie i opowiadają się za prawem narodów do samostanowienia. Wzbudza re spekt ta otoczona nim tajemnicą organizacja, która pod zasłoną szumnych tytułów, dziwacznych symboli, siedmioramiennych świeczników oraz fioletowych i błękitnych strojów braci walczy o całkiem ziemskie cele i ideały. Jej zasady ideowe wyznaczają trzy słowa: „Dobroć-Prawda-Piękno”.

29 sierpnia 1972 r. na łamach tygodnika wojskowego „Verde Olivo” ukazał się list otwarty Loży Masonskiej „Colombo” następującej treści: „Do Jego Ekscelencji Ambasadora USA w Hawanie. Ambasada Stanów Zjednoczonych to ostatnich miesiącach zastrzyła propagandę przeciw Kubie na naszym własnym terytorium. Wiele instytucji otrzymuje broszury, które noszą antynarodowy charakter...” Masoni stanowczo potępili te działania, uznając, że stanowią one integralny element kontrrewolucji.

Stwierdzono w liście: „Nasza Loża Masonska potępia i odrzuca te insynuacje rządu Waszej Ekscelencji, dotyczące losu naszego narodu i przypomina, że w ostatnich latach jednym przejawem zainteresowania tym losem ze strony Stanów Zjednoczonych były dostawy broni dla poprzedniego reżimu, które przyczyniły się do śmierci 20 tysięcy naszych braci, do dziś ontakiwanych przez swe żony, matki i dzieci. Naszym hasłem jest Ojczyzna lub śmierć”.

Pod patronatem Wielkiej Loży działa organizacja młodzieży „Nadzieja Braterstwa”. Szczególną zasługą tej organizacji jest zwalczanie fanatyzmu religijnego, który rozprzestrzenił się w niektórych kręgach młodzieży. Współpracuje ona także w realizacji programu rewolucji na Kubie z Kubańską Młodzieżą Socjalistyczną, która kierował przez wiele lat obecny szef dyplomacji kubańskiej Isidoro Malmierca. Młodzi bracia znają języki obce i mają sporą wiedzę o świecie, o czym mogłem osobiście się przekonać.

WIESŁAW HEADKIEWICZ



ciąg dalszy ze str. 1

skiej kulturze, historii, otwarci dla współczesnych problemów polskich.

Pani Elfriede mówi: „Języka polskiego uczy przede wszystkim dorosłych mieszkańców Verden, którzy odwiedzili już Polskę, poznali tam jakąś miłą rodzinę i pragną utrzymać z nią bliższe kontakty. Niemcy często jeżdżą do was, dlatego dosyć pilnie uczą się języka polskiego na kursach, które trwają na ogół dwa lata. Nawiazane znajomości prowadzą nieraz do przyjaźni”. Juergen Jeromin dodaje: „Kiedy latem bawili

Notatki zza Łaby

To tylko 520 kilometrów...

tu tancerze i śpiewaki z lubuskiego zespołu, to nasi ludzie przyjmowali na noclegi po 3-4 osoby. Tutaj zainteresowanie Polską i jej kulturą jest wielkie”.

7 PAŹDZIERNIKA

Wieczór towarzyski w mieszkaniu państwa Roswithy i Ekberta Meinhardtów, zbudowanym na trzech poziomach. Chwilę siedziemy w gościnnym pokoju na parterze, pełnym obrazów współczesnych malarzy i drobnych przedmiotów artystycznych. Potem jemy kolację w innym

karskich w Polsce i Związku Radzieckim, pani Meinhardt udało się załatwić przyjęcie dziecka do kliniki okulistycznej prof. Paulmanna w Kolonii, jednego z najlepszych okulistów-chirurgów na świecie.

8 PAŹDZIERNIKA

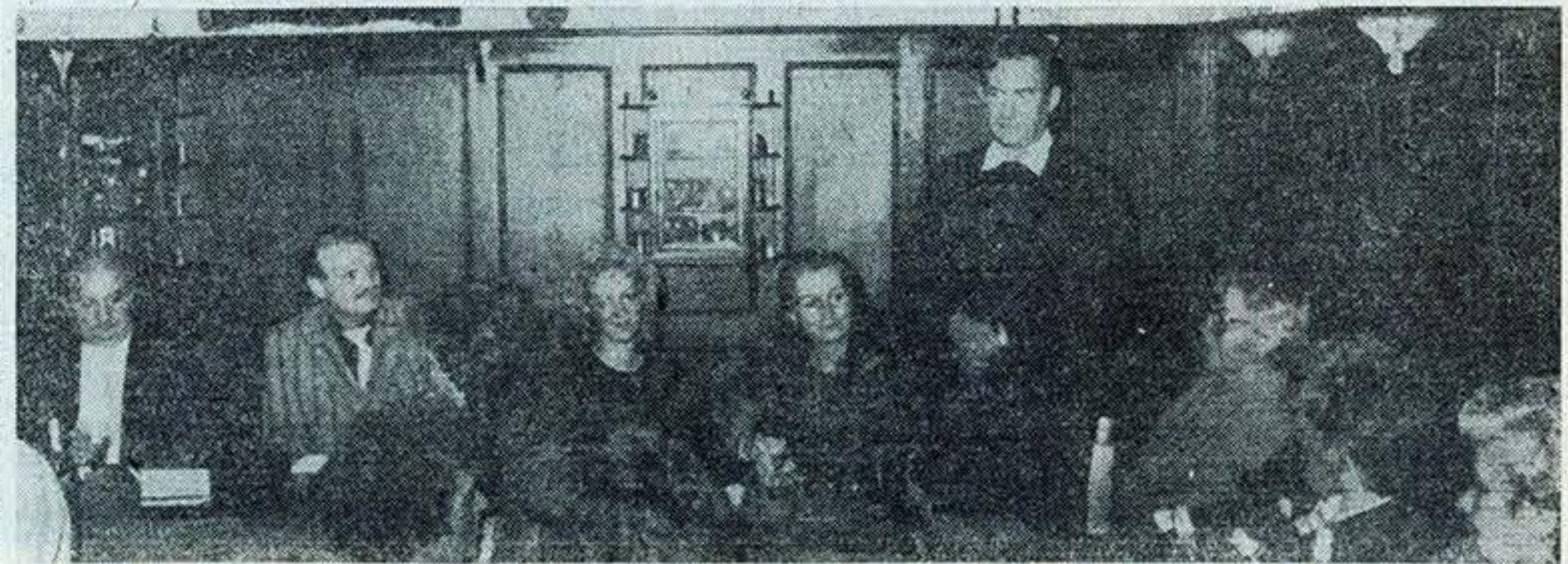
Z Rolandem i Maigorzatą Hellmann odwiedzamy powiatowe miasto Falling-sbottell. Ma tutaj swój salon fryzjerski pan Manfred Schmidel. Mistrz nożyczek i grzebienia przyjmuje nas z prawdziwą polską gościnnością; za sprawą Mirosława Sz., fryzjera z Zielonej Góry, Mirosława, sympatyczna zielonogórzanka w maju br. wyjechała do RFN i poznała

osobiste stosunki, jak też obu narodów, to myślę, że powinienem do tego się przyczynić. A pan Hesse dodaje: — Byłem na Winobranii w Zielonej Górze, kilka razy w Warszawie. Nie urodziłem się jak pan starosta na Śląsku, lecz tutaj, w Verden. Uważam jednak, że nadzedł czas, ażebyśmy umocnili współpracę między Niemcami i Polakami, zwłaszcza jeżeli chodzi o swobodną wymianę ludzi i doświadczeń.

13 PAŹDZIERNIKA

Korzystam z kolejnego zaproszenia. Tym razem jest to spotkanie z członkami i sympatykami Niemiecko-Polskiego Towarzystwa. W szczerze wypełnionej sali gospody „Zum Burgberg”, R. Hellmann przedstawia nas jako gości z bliskiego ich sercu miasta. Potem na kolorowych slajdach pokazuje fragmenty starej Zielonej Góry i występy niektórych grup podczas Międzynarodowego Festiwalu Zespołów Folklorystycznych.

Opowiadamy o naszej pracy zawodowej i społecznej, o znaczeniu województwa zielonogórskiego na mapie kulturalnej Polski, o naszych wrażeniach z pobytu w Verden, o analogiach i różnicach... Rozmowy są szczere, emocjonalne. Np. jak to jest konkretnie z tą współpracą? Więc, dr Chmielewski jako prze wodniczący Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry wyjaśnia, że w maju br. powstała przy tym Towarzystwie sekcja współpracy z Verden, do której należy już 60 osób. Pragniemy poszerzać i umacniać te kontakty, które popierają zresztą osobiście prezydent Zielonej Góry Antonina Grzegorzewska i przewodniczący MRN — Władysław Buda. Spodziewamy się, że latem przyszłego roku



Podczas spotkania z członkami Niemiecko-Polskiego Towarzystwa w Verden. Od lewej: dr Grzegorz Chmielewski, Roland Hellmann, Maigorzata Hellmann, Maigorzata Kuźniar i prowadzący rozmowę — autor tego działu — Romuald Szura

pokoju, obok nowoczesnie urządzonej kuchni. Mam okazję tutaj spotkać Maigorzatę Kuźniar i Grzegorza Chmielewskiego, który zamieszkał u pana Allerheiligena, historyka z wykształcenia, na co dzień pełniącego odpowiedzialną funkcję w starostwie powiatowym. Nasi goście, urzeczeni sztuką polską, nabyli od pani Maigorzaty dwie prace olejne, które będą zdobić ich mieszkanie i przypominać o Zielonej Górze. W naszym mieszkaniu Meinhardtów byli już kilkakrotnie, m.in. z transportem lekarstw. Mają tu także swoich przyjaciół, choćby Zbigniewa Wawrzyńskiego z Lubuskiego Zespołu Pieśni i Tańca. W ścisłej współpracy z tym młodym działaczem kultury, Roswitha Meinhardt (pełniąca funkcję wiceprzewodniczącej Niemiecko-Polskiego Towarzystwa i radnej miejskiej) postanowiła — korzystając także z poparcia władz swego miasta — pomóc matce małego dziecka, które straciło wzrok, mieszkających w Białobrzegach Radomskich. Po zebraniu odpowiednich funduszy w RFN i uzyskaniu przez Wawrzyńskiego diagnoz le-

selei! W przyszłym roku na pewno! W Zielonej Górze!

12 PAŹDZIERNIKA

W starostwie rozmawiam z Christopphem Rippichem — przewodniczącym miejscowej frakcji SPD i starostą w jednej osobie oraz z przewodniczącym tutejszej partii Zielonych — Haraldem Hesse. Obie partie od dwóch lat tworzą w Verden tzw. koalicję (co jest ewenementem w doświadczeniach partyjnych RFN), mając istotny wpływ na rozwój życia gospodarczo-społecznego w powiecie. Oba działacze popierają także robocze kontakty Verden z Zieloną Górą.

Co jest przyczyną zainteresowania Polską?

— Przyczyn jest wiele — powiada pan Lippich — ale chciałbym wymienić tu jedną. 50 lat temu urodziłem się na Śląsku, a jako mały chłopiec znalazłem się tutaj. Myślę, że mój los związany jest trochę z losami obu narodów. I jeżeli możemy poprawić zarówno nasze

zorganizujemy w Verden wystawę obrazującą dorobek społeczno-kulturalny Zielonej Góry.

15 PAŹDZIERNIKA

W czasie dwutygodniowego pobytu w Verden, na łamach miejscowej prasy ukazało się osiem artykułów i notatek opatrzonych zdjęciami, na temat naszej dotychczasowej współpracy, jej przebiegu i dalszych zamierzeń. Dziennik „Verdener Nachrichten” napisał: „Obydwa towarzystwa (w Zielonej Górze i Verden) otrzymały zielone światło od swych lokalnych polityków. We wrześniu br. władze Zielonej Góry postanowiły jednoznacznie umocnić kontakty między dwoma miastami — oświadczył w czwartek Hellmann na spotkaniu z członkami i gośćmi Niemiecko-Polskiego Towarzystwa”.

Z Zielonej Góry do Verden w RFN jest zaledwie 520 km. I odwrotnie... Ale przecież początku tej przyjaźni nie miarzy się w kilometrach.

ROMUALD SZURA

W notiesie oficera MO

GWAŁCICIELE I CHULIGANI

W praktyce śledczej i sądowej zabójstwo połączone ze zgwałceniem rozumiane jest jako czyn popełniony z motywów seksualnych. Ustalenie motywu seksualnego z reguły nie przysparza organom ścigania większych trudności. Jak wskazuje statystyka, wykrywalność tych zabójstw jest niższa, niż wykrywalność zabójstw z innych powodów. Wiąże się to z faktem, iż często sprawcę zabójstwa nie łączyły bliższe kontakty z ofiarą.

Ofiarami zabójstw z motywów seksualnych są kobiety przede wszystkim nieznane lub mało znane, spotkane przypadkiem, nierzadko prostytutki. Tak było np. w sprawie Stefana Rachubińskiego z Bydgoszczy lub słynnego „wam pira z Gaikowca” — Modzelewskiego. Jako przykład zabójstwa popełnionego z motywów seksualnych, można przytoczyć następującą sprawę.

Władysław T. miał lat 19, mieszkał na wsi i był z zawodu dekarzem. Kiedyś, będąc jeszcze dzieckiem, podczas zabawy spadł z dachu. Od tej pory często skarżył się na silne bóle głowy. Marię B. znał z widzenia. Była wdową, matką siedmioro dzieci. Ponadto kobieta znana powszechnie ze skłonności do nadużywania alkoholu oraz łatwości w kontaktach z mężczyznami.

Pewnego wieczoru Władysław T. poszedł na zabawę, spotkał tam Marię B. gdy oboje byli już nietrzeźwi, Władysław T. zaproponował wyjście z sali.

Usiadą na ławce i porozmawiają, po czym nie czekając na odpowiedź, wyprowadził Marię B. z sali — zabierając ze sobą butelkę wódki.

Kiedy usiedli, Władysław T. zmusił Marię B. do wypicia alkoholu i zaproponował jej stosunek seksualny. Kobieta nie zgodziła się i chciała odejść. Rozzłoszczony odmowa Władysław T. przewrócił ją na ziemię i wbił siłą. Podczas stosunku bił kobietę pięściami po głowie.

Jak później relacjonował, Maria B. prosiła go, aby „dał jej spokój, bo ona ma siedmioro dzieci”. Prośby nie odniosły skutku. Po stosunku Władysław T. dalej znęcał się nad kobietą, kopiąc w głowę. Zaciągnął ją kilkanaście metrów dalej, gdzie tak długo bił i kopał, aż stwierdził, że przestała dawać oznaki życia. Wtedy odbył na niej jeszcze jeden stosunek, po czym powiół ciało dalej. Tam usiłował raz jeszcze odbyć stosunek, lecz zrezygnował. Opuszczając miejsce zabójstwa, nasypany piasku do narządów płciowych ofiary.

W tym przypadku sprawca miał skłonności sadystyczne, objawiające się w brutalnym znęcaniu się nad ofiarą, nawet wtedy, gdy już nie żyła.

Sprawcami zabójstw z motywów seksualnych bywają wyłącznie mężczyźni. Podobnie też samych mężczyzn spotyka się wśród sprawców zabójstw z motywów chuligańskich.

Zabójstwa z motywów chuligańskich wiążą się zazwyczaj z incydentami powstałymi na zabawach publicznych, w restauracjach itp. Zabójstwa te przeważnie nie są planowane. Dochodzi do nich w wyniku doraźnego konfliktu między sprawcami a ofiarą. Stwierdzono też, że większość sprawców systematycznie nadużywała alkoholu i już wczesniej pod jego wpływem wykazywała agresywne zachowanie.

Przykładem zabójstwa popełnionego z motywów chuligańskich może być następująca sprawa.

Bracia Ryszard i Andrzej K. wybrali się na zabawę taneczną. Ryszard K. zabrał ze sobą noż. — Może się przydać — powiedział do brata. Już przed wejściem na salę obaj zachowywali się prowokująco. Zaczęli uczestników zabawy wyraźnie szukając powodu do awantury. Wreszcie pod koniec zabawy Ryszard K. z blagiego powodu wywołał bójkę, podczas której nożem ugodził śmiertelnie Lecha O. Sąd Wojewódzki w Zielonej Górze skazał Ryszarda K. na 25 lat pozbawienia wolności.

Sąd Najwyższy ustalił wytyczne wymiaru sprawiedliwości w sprawach przestępstw o charakterze chuligańskim. Powiedziane jest wyraźnie, że chuligańskiego charakteru przestępstwa należy doszukiwać się w sposobie i w pobudkach działania sprawcy. Jeśli jego działanie agresywne i brutalne nie zostało wywołane okolicznościami, bądź sytuacją, i jeśli nastąpiło bez powodu lub z powodu błagiego, mamy do czynienia z przestępstwem chuligańskim.

MAREK KIM

Któregoś dnia w „Topazie” pojawiła się nowa. Młoda, niebrzydka i co najważniejsze świeża. A w tej branży, jak w każdej innej zresztą, ważne, by towar był świeży... Ta była ponadto jakby trochę ładniejsza, zdziwna, wystraszona i niepewna, widząc, że z terenu. Doszły do niej i poprosiły grzecznie do toalety, niby na rozmowę. Gdy weszła, złapały ją mocno, za lewą i do muszki kłopotliwej. Nawet nie zdążyła krzyknąć, bo zaraz się zakrzuszyła.

Spuścili wodę raz, drugi i trzeci, na fryzurę, na tusz i cały makijaż.

— Kochana, nie z nami takie numery. Tu nie miejsce na konkurencję. Nie będziesz robiła zamieszania.

Kiedy ją puścili i pozwoliły się wyprostować, wyglądała jak nieboskie stworzenie. Zrozumiała. Zmieniła się — i więcej jej nie widziały.

Właściwie nie się stało. Gdzieś indziej zdarzają się porachunki krwawe, w ruch idą żyłki, noże, widelce. Podobno gdzieś, nie wiadomo dokładnie gdzie, jedna drugiej z zemsty czy z zazdrości, podstawiła na sztorc pilnik do paznokci. Tamta usiadła i wbiła sobie prosto w...

Coś strasznego. W Zielonej Górze niczego takiego nie było. Choć podobno jest tu taka panienka, której przez twarz biegnie gługa szrama, po cięciu...

Gdy wchodzi do „Topazu”, jedno spojrzenie wystarczy, by zorientować się i ocenić, czy warto usiąść, czy też od razu zawrócić, wskoczyć do taksówki na postój i pojechać do „Polanu”, „Podgórnego” czy „Witebskiej”. Kategoria „B” szuka szczęścia w każdy piątek i sobotę, częściej też w niedzielę oraz w wieczory po wypłacie. Niekiedy może być prawdziwe znioło.

Dziewczyny spod litery „B” wypatrzą cudzoziemców, przyjeżdżających do Zielonej Góry na te ich „wochenendy” przeważnie z Berlina Zachodniego, bo najbliższe. Ale gdy nie ma cudzoziemców, kategoria „B” nie gardzi rodakami. Rzecz jasna i oczywista, że lepsze są pieniądze. Ale i za złotówki też się jakoś żyje.

Więc gdy brakuje zagranicznych, co to szkodzi zabawić się z rodakiem? Kategoria „B” nie droży się: taksa zaczyna już od 20-30 tysięcy złotych. Lub od dwudziestu dolarów...

Kategoria „C”, to arabski. Z reguły są bardzo młode, góra 19-20 lat, i w przeciwieństwie do tych z kategorią „B” nie posiadają stylu ani klasy. Rozchichotane, w głowach pustka, w uszach piórka. Siedzą godzinami w kawiarniach — często w „Palmie” lub „Mocce”, gotowe na każde skinienie.

Najlepiej byłoby, gdyby skinał Jagoł albo Arab, obojętnie jaki by był. Stary, brudny, pijany, kroszciaty. Arabska pójde z każdym, taka jest opinia.

Przy tym arabski są tani i nie dodatkowo, ale zamiast pieniędzy, przysyłają prezenty. Za paczkę kawy, dezodorant czy rajstopy pójde arabska wszędzie, gdzie chce — do hotelu, na parking, do samochodu, do lasu, w krzaki.

Arabski czują się gorsze od kategorii „B”, ale lepsze od tirówek. Choć tak na prawdę, to po cichu tirówkom zazdrości. Czego? Odwagi, zdecydowania, zarobków.

Chodzi o to, że arabska jest jakby trochę romantyczna i zapała się na dancing, kolację, nocy w hotelu. Zawse to jakaś odmiana i atrakcja. Zabawia się, zje, dostanie prezent. Ale zara białe za mało. Natomiast to, co robi tirówka, jest czytym biznesem. Bez udawania i straty czasu na załoty, rozmowy, zabawę. Od razu przystępuje się do rzeczy, nie owijając niczego w bawełnę.

Tirówki stoją na trasie i zaczepiają samochody, głównie ciężkie TIR-y. Kierowcy czasem od kilku dni w podróży, z dala od domu, trochę zmęczeni, wypoczeni. Chętnie lecą na przygodę. Zatrzymują się, gdy dziewczyna pomacha ręką.

Dla niewtajemniczonych wygląda to na zwyczajny autostop.

Alle kierowcy TIR-ów w większości

wiedzą już o co chodzi. Kontakt nawiązuwany jest szybko. Wystarczy parę słów i kilka znanych ogólnie gestów. Panienka rozpina guziki i podciąga spodniczkę. Każda tirówka wie, jak to się robi.

Po uzgodnieniu ceny i omówieniu szczegółów, dochodzi do transakcji: zazwyczaj na pierwszym spotkaniu w parkingu. W kabinie TIR-ów jest wszystko, co potrzeba. Nawet firanki można zaciągnąć.

W tym czasie panienka może sobie zrobić coś z włosami, zrobić sobie

zaczekać, aż przyjdzie kolejny klient. Klient jest przeważnie mieszkającym z granicą „narzeczonym” — Holendrem, Belgiem, Niemcem, rzadko Francuzem, bardzo rzadko Turkiem, nigdy Arabem.

Panowie ci są nieźle sytuowani w swoich krajach. Przyjeżdżają albo w interesach, czyli jak się u nas mówi — służbowo, albo na polowanie, do których w polskiej nomenklaturze dodaje się przymiotnik — dewizowe.

Tacy biznesmeni lub myśliwi chcą sobie przy okazji użyć w Polsce przyjemności, której koszt w przeliczeniu na ichnie ceny, wydaje się śmiesznie mały. W RFN godzina spędzona w burdelu wypływa z portfela 400-500 marek — i zaraz będzie o tym, jak się to odbywa. U nas cała noc pełna uciech z

panienką, kosztuje cudzoziemca nie więcej, a czasem nawet mniej, niż sto marek, lub 50 dolarów.

Dla myśliwych dewizowych jest wszystko, co najlepsze: lubuski gęsy łas pelen łownej zwierzęcy, gorący bigos, zimna czysta — wyborowa. A w specjalnie do tego celu przystosowanych łazienkach wygodne łóża, w których cudzoziemcom smutno byłoby spać samotnie.

Przyjeżdżają więc na polowania także panienki, by uczestniczyć w części rozrywkowej. Czasami z całym towarzyszem wsiadają do stołu, jedzą, piją i bawią się. Jeśli potrafią jakoś tak porozumieć się z gościem i gdy w pełni sprośają jego wymaganiom, mogą liczyć na następny raz. Jak to się mówi, temat to staje zaklepany — i za każdym razem, gdy „narzeczony” zapamięta coś sobie ustrzelić w lubuskich lasach, „narzeczony” dostaje cynk.

Od kogo? To wielka tajemnica, nie do zbadania i nie do zdradzenia. Czasem zresztą wiadomość tę przysyła sam „narzeczony”, jeśli stosunki na tyle się zacieśniają.

Cynk pochodzi od cynkorii (nie mylić z cykorią, która oznacza coś całkiem innego). A co to jest cynkorii? Jest to wiedza plus usługa. Innymi słowy — zdobywanie informacji i przekazywanie jej. Szeptem na ucho, do słuchawki. Z raczki do raczki, przy absolutnej dyskrecji.

Nie jest to gałąź całkiem nowa. Przed wojną nazywano ją nieładnie stręczycielstwem, byli jacyś alfonsi i jakieś burdel-mamy. Dziś mówi się sympatyczniej: dać cynk.

— Daję ci cynk, mała. Bądź o pięcie na parkingu przed Domem Chłopa. Pod jedzie opel kadet, czerwony — kapujesz? Facet w okularach, biała kurka. Waj śmiało, możesz zabrać koleżankę. Sprawa nagrana jest na całą...

Siedząca przede mną młoda, piękna kobieta ma na imię — powiedzmy — Bożena. Kategoria „A”. Wzrost 168 cm, waga 75 kilogramów. Ciut za dużo, ale niektórym właśnie o to chodzi. Niektórzy specjalnie rozglądają się za wypukłościami z przodu i z tyłu...

Fryzura fryzjerska, dobra farba, lśniąca lakier, na powiekach cienie najlepszych firm — to widak, usta blade, tylko podkreślone konturówką. Futelko z lisa, a pod futelkiem koronki, skóra i srebro. Sposób bycia powściągliwy, a

zachowanie pozorów. Klient jest przeważnie mieszkającym z granicą „narzeczonym” — Holendrem, Belgiem, Niemcem, rzadko Francuzem, bardzo rzadko Turkiem, nigdy Arabem.

Panowie ci są nieźle sytuowani w swoich krajach. Przyjeżdżają albo w interesach, czyli jak się u nas mówi — służbowo, albo na polowanie, do których w polskiej nomenklaturze dodaje się przymiotnik — dewizowe.

Tacy biznesmeni lub myśliwi chcą sobie przy okazji użyć w Polsce przyjemności, której koszt w przeliczeniu na ichnie ceny, wydaje się śmiesznie mały. W RFN godzina spędzona w burdelu wypływa z portfela 400-500 marek — i zaraz będzie o tym, jak się to odbywa. U nas cała noc pełna uciech z

panienką, kosztuje cudzoziemca nie więcej, a czasem nawet mniej, niż sto marek, lub 50 dolarów.

Dla myśliwych dewizowych jest wszystko, co najlepsze: lubuski gęsy łas pelen łownej zwierzęcy, gorący bigos, zimna czysta — wyborowa. A w specjalnie do tego celu przystosowanych łazienkach wygodne łóża, w których cudzoziemcom smutno byłoby spać samotnie.

Przyjeżdżają więc na polowania także panienki, by uczestniczyć w części rozrywkowej. Czasami z całym towarzyszem wsiadają do stołu, jedzą, piją i bawią się. Jeśli potrafią jakoś tak porozumieć się z gościem i gdy w pełni sprośają jego wymaganiom, mogą liczyć na następny raz. Jak to się mówi, temat to staje zaklepany — i za każdym razem, gdy „narzeczony” zapamięta coś sobie ustrzelić w lubuskich lasach, „narzeczony” dostaje cynk.

Od kogo? To wielka tajemnica, nie do zbadania i nie do zdradzenia. Czasem zresztą wiadomość tę przysyła sam „narzeczony”, jeśli stosunki na tyle się zacieśniają.

Cynk pochodzi od cynkorii (nie mylić z cykorią, która oznacza coś całkiem innego). A co to jest cynkorii? Jest to wiedza plus usługa. Innymi słowy — zdobywanie informacji i przekazywanie jej. Szeptem na ucho, do słuchawki. Z raczki do raczki, przy absolutnej dyskrecji.

Nie jest to gałąź całkiem nowa. Przed wojną nazywano ją nieładnie stręczycielstwem, byli jacyś alfonsi i jakieś burdel-mamy. Dziś mówi się sympatyczniej: dać cynk.

— Daję ci cynk, mała. Bądź o pięcie na parkingu przed Domem Chłopa. Pod jedzie opel kadet, czerwony — kapujesz? Facet w okularach, biała kurka. Waj śmiało, możesz zabrać koleżankę. Sprawa nagrana jest na całą...

Siedząca przede mną młoda, piękna kobieta ma na imię — powiedzmy — Bożena. Kategoria „A”. Wzrost 168 cm, waga 75 kilogramów. Ciut za dużo, ale niektórym właśnie o to chodzi. Niektórzy specjalnie rozglądają się za wypukłościami z przodu i z tyłu...

Fryzura fryzjerska, dobra farba, lśniąca lakier, na powiekach cienie najlepszych firm — to widak, usta blade, tylko podkreślone konturówką. Futelko z lisa, a pod futelkiem koronki, skóra i srebro. Sposób bycia powściągliwy, a

PANIENKI

Ewa Foss

zachowanie pozorów. Klient jest przeważnie mieszkającym z granicą „narzeczonym” — Holendrem, Belgiem, Niemcem, rzadko Francuzem, bardzo rzadko Turkiem, nigdy Arabem.

Panowie ci są nieźle sytuowani w swoich krajach. Przyjeżdżają albo w interesach, czyli jak się u nas mówi — służbowo, albo na polowanie, do których w polskiej nomenklaturze dodaje się przymiotnik — dewizowe.

Tacy biznesmeni lub myśliwi chcą sobie przy okazji użyć w Polsce przyjemności, której koszt w przeliczeniu na ichnie ceny, wydaje się śmiesznie mały. W RFN godzina spędzona w burdelu wypływa z portfela 400-500 marek — i zaraz będzie o tym, jak się to odbywa. U nas cała noc pełna uciech z

panienką, kosztuje cudzoziemca nie więcej, a czasem nawet mniej, niż sto marek, lub 50 dolarów.

Dla myśliwych dewizowych jest wszystko, co najlepsze: lubuski gęsy łas pelen łownej zwierzęcy, gorący bigos, zimna czysta — wyborowa. A w specjalnie do tego celu przystosowanych łazienkach wygodne łóża, w których cudzoziemcom smutno byłoby spać samotnie.

Przyjeżdżają więc na polowania także panienki, by uczestniczyć w części rozrywkowej. Czasami z całym towarzyszem wsiadają do stołu, jedzą, piją i bawią się. Jeśli potrafią jakoś tak porozumieć się z gościem i gdy w pełni sprośają jego wymaganiom, mogą liczyć na następny raz. Jak to się mówi, temat to staje zaklepany — i za każdym razem, gdy „narzeczony” zapamięta coś sobie ustrzelić w lubuskich lasach, „narzeczony” dostaje cynk.

Od kogo? To wielka tajemnica, nie do zbadania i nie do zdradzenia. Czasem zresztą wiadomość tę przysyła sam „narzeczony”, jeśli stosunki na tyle się zacieśniają.

Cynk pochodzi od cynkorii (nie mylić z cykorią, która oznacza coś całkiem innego). A co to jest cynkorii? Jest to wiedza plus usługa. Innymi słowy — zdobywanie informacji i przekazywanie jej. Szeptem na ucho, do słuchawki. Z raczki do raczki, przy absolutnej dyskrecji.

Nie jest to gałąź całkiem nowa. Przed wojną nazywano ją nieładnie stręczycielstwem, byli jacyś alfonsi i jakieś burdel-mamy. Dziś mówi się sympatyczniej: dać cynk.

— Daję ci cynk, mała. Bądź o pięcie na parkingu przed Domem Chłopa. Pod jedzie opel kadet, czerwony — kapujesz? Facet w okularach, biała kurka. Waj śmiało, możesz zabrać koleżankę. Sprawa nagrana jest na całą...

Siedząca przede mną młoda, piękna kobieta ma na imię — powiedzmy — Bożena. Kategoria „A”. Wzrost 168 cm, waga 75 kilogramów. Ciut za dużo, ale niektórym właśnie o to chodzi. Niektórzy specjalnie rozglądają się za wypukłościami z przodu i z tyłu...

Fryzura fryzjerska, dobra farba, lśniąca lakier, na powiekach cienie najlepszych firm — to widak, usta blade, tylko podkreślone konturówką. Futelko z lisa, a pod futelkiem koronki, skóra i srebro. Sposób bycia powściągliwy, a

zachowanie pozorów. Klient jest przeważnie mieszkającym z granicą „narzeczonym” — Holendrem, Belgiem, Niemcem, rzadko Francuzem, bardzo rzadko Turkiem, nigdy Arabem.

Panowie ci są nieźle sytuowani w swoich krajach. Przyjeżdżają albo w interesach, czyli jak się u nas mówi — służbowo, albo na polowanie, do których w polskiej nomenklaturze dodaje się przymiotnik — dewizowe.

Tacy biznesmeni lub myśliwi chcą sobie przy okazji użyć w Polsce przyjemności, której koszt w przeliczeniu na ichnie ceny, wydaje się śmiesznie mały. W RFN godzina spędzona w burdelu wypływa z portfela 400-500 marek — i zaraz będzie o tym, jak się to odbywa. U nas cała noc pełna uciech z

panienką, kosztuje cudzoziemca nie więcej, a czasem nawet mniej, niż sto marek, lub 50 dolarów.

Dla myśliwych dewizowych jest wszystko, co najlepsze: lubuski gęsy łas pelen łownej zwierzęcy, gorący bigos, zimna czysta — wyborowa. A w specjalnie do tego celu przystosowanych łazienkach wygodne łóża, w których cudzoziemcom smutno byłoby spać samotnie.

Przyjeżdżają więc na polowania także panienki, by uczestniczyć w części rozrywkowej. Czasami z całym towarzyszem wsiadają do stołu, jedzą, piją i bawią się. Jeśli potrafią jakoś tak porozumieć się z gościem i gdy w pełni sprośają jego wymaganiom, mogą liczyć na następny raz. Jak to się mówi, temat to staje zaklepany — i za każdym razem, gdy „narzeczony” zapamięta coś sobie ustrzelić w lubuskich lasach, „narzeczony” dostaje cynk.

Od kogo? To wielka tajemnica, nie do zbadania i nie do zdradzenia. Czasem zresztą wiadomość tę przysyła sam „narzeczony”, jeśli stosunki na tyle się zacieśniają.

Cynk pochodzi od cynkorii (nie mylić z cykorią, która oznacza coś całkiem innego). A co to jest cynkorii? Jest to wiedza plus usługa. Innymi słowy — zdobywanie informacji i przekazywanie jej. Szeptem na ucho, do słuchawki. Z raczki do raczki, przy absolutnej dyskrecji.

Nie jest to gałąź całkiem nowa. Przed wojną nazywano ją nieładnie stręczycielstwem, byli jacyś alfonsi i jakieś burdel-mamy. Dziś mówi się sympatyczniej: dać cynk.

— Daję ci cynk, mała. Bądź o pięcie na parkingu przed Domem Chłopa. Pod jedzie opel kadet, czerwony — kapujesz? Facet w okularach, biała kurka. Waj śmiało, możesz zabrać koleżankę. Sprawa nagrana jest na całą...

Siedząca przede mną młoda, piękna kobieta ma na imię — powiedzmy — Bożena. Kategoria „A”. Wzrost 168 cm, waga 75 kilogramów. Ciut za dużo, ale niektórym właśnie o to chodzi. Niektórzy specjalnie rozglądają się za wypukłościami z przodu i z tyłu...

Fryzura fryzjerska, dobra farba, lśniąca lakier, na powiekach cienie najlepszych firm — to widak, usta blade, tylko podkreślone konturówką. Futelko z lisa, a pod futelkiem koronki, skóra i srebro. Sposób bycia powściągliwy, a

zachowanie pozorów. Klient jest przeważnie mieszkającym z granicą „narzeczonym” — Holendrem, Belgiem, Niemcem, rzadko Francuzem, bardzo rzadko Turkiem, nigdy Arabem.

Panowie ci są nieźle sytuowani w swoich krajach. Przyjeżdżają albo w interesach, czyli jak się u nas mówi — służbowo, albo na polowanie, do których w polskiej nomenklaturze dodaje się przymiotnik — dewizowe.

Tacy biznesmeni lub myśliwi chcą sobie przy okazji użyć w Polsce przyjemności, której koszt w przeliczeniu na ichnie ceny, wydaje się śmiesznie mały. W RFN godzina spędzona w burdelu wypływa z portfela 400-500 marek — i zaraz będzie o tym, jak się to odbywa. U nas cała noc pełna uciech z

zarazem prowokujący. Znajomość niemieckiego. W torebce bank: pieniądze, złotówki, a także mały pieniądz, czyli bony.

„Narzeczony” — jeden z RFN, drugi spod Brukseli, przyjeżdżają do Bożeny raz na trzy — cztery miesiące, każdy osobno. Na przemian ze słubnym mężem, który od sześciu lat pracuje pod Hamburgiem...

W międzyczasie Bożena bynajmniej nie siedzi i nie czeka stęskniona. Przeciwnie. Nieustannie poszukuje okazji, by poznać kogoś odpowiedniego. To znać jakiego? Z forsa.

Właśnie wróciła spod Giewontu. Pewien gość z RFN chciał zobaczyć polskie góry. Spędził z nim cztery dni. Ku pił jej kożuch góralski. Bożena sprzeda ten kożuch...

— Nie będę przecież nosić czegoś takiego.

Przebiegła się. Dyskretnie trąbi w chusteczki, nie zdejmując prześlicznych, długich do łokcia białych rękawiczek. Te rękawiczki ze skórki cienkiej jak jedwab, przywiózł jej niedawno jeden z „narzeczonych”. U męża zamówiła sobie to tego białe kozaczki, koniecznie z lancuchem z boku.

Bożena składa na mieszkanie. Gdy uzbiera stosowną sumę, kupi choćby pokój z kuchnią w spółdzielni „Locum”, by ułoić nie wrzeszcząc do szpiegującej ją rodziny męża. Wydawałoby się, że nie trudno dziewczynie takiej jak Bożena zarobić tych parę tysięcy marek. A jednak. Życie codzienne jest drogie. Byle szmata — sto tysięcy. Mąż ma swoje plany, ona swoje.

Na Zachodzie, tam dziewczyna pożyje! Bożena była w Hamburgu, więc są na nią wieści.

— Wszystko ma swoją cenę — mówi. — Zabawa z cychem dziesięć, z brzuskiem drugie dziesięć, z kocurem pięć dziesiąt. Za ustawienie lustra dziesięć. Stosunek zwykły słowa, do buzi drugie tyle, z polknięciem o połowę więcej. I tak dalej. Dochodzi jeszcze to, co się wy-pije i gość buli pół tysiąca marek...

Prawda, że panienka dostaje z tego nie więcej, jak jedna trzecia. Ale też nie ponosi żadnych wydatków. Pracuje na miejscu, w cieple, nie zmęczy się.

Kategoria „A” nosi się wysoko i nie zadaje z tymi, co stoją niżej. Stosunki koleżeńskie między panienkami nie wykraczają poza kategorię. Przy tym każda z grup pilnuje, by nie dać się przecisnąć jakiejś obcej. Na awans trzeba zasłużyć, zapracować, zarobić. I wielu rzeczy się nauczyć.

Polska pierestrojka wprowadziła do branży dezorientację. Mówi się na przykład, niby żartem ale jednak, że prostytutka będzie oficjalnym zawodem.

— U nas wszystko możliwe — kiwa głową Bożena, po czym zauważa, że przecież nawet na Zachodzie miłość płatna jest kamuflowana w rozmaitych salonach masażu, saunach, gabinetach kosmetycznych łaźniach...

W naszym szarym życiu, tuż obok nas, dzieją się rzeczy, o których nie mamy pojęcia. Na jednej z ulic w śródmieściu, Zielonej Góry mieszka homoseksualista, który płaci hojnie za usługi młodym żu-lom i fotografuje ich. Pewne małżeństwo lubi wynajmować panienkę, czasem jedną, czasem dwie, do wspólnych igraszek w łóżku.

Seks grupowy, orgietki z dziećmi — sprawę posadzono, męskie i damskie odmiany homoseksualizmu. Wszystko to w naszej pocziwej „Zielonej”.

Wpada pewien facet do swego kolegi, w największym zdenerwowaniu. Co się stało? Otóż wrócił niespodziewanie do domu, patrzy — dziecko w wózek, na pięciu garnki z obiadem, a w łóżku jego żona na gołasa z panienką. Tak były zajęte, że nie zauważyły jego wejścia...

— Umarli na zapalenie płuc i biegunkę — mówi — ale to był „slim”. Wszyscy w naszej wsi umierają na „slim”. Opowiadali mi moi rodzice, że panowała tu kiedyś czarna ospa. A teraz panuje „slim”. Jest to zaraza od Boga.

Dlaczego Bóg sprowadził zarazę na Kyebe, tego Josephant nie wie. Tego nikt nie wie. Ale przecież działy się tu takie zły rzeczy, jak przemysł i „malaya”. Może za to spłynęła na Kyebe kara boska?

Najsmutniejszym przypadkiem jest Namuyimbwa Getu. Ma 27 lat. Ciępi na AIDS dłużej, niż ktokolwiek w wsi, bo od lat sześciu. Przeżyła śmierć wielu współmieszkańców. Jest tak wychudzona i słaba, że nie może poruszać się o własnych siłach. Waży tylko 20 kilo i zdaje się składać wyłącznie z kości i ogromnych, smutnych oczu. Cały dzień spędza na kocu przed domem. Mówi, że w każdej chwili spodziewa się śmierci. Tymczasem cieszy się każdą chwilą i obserwuje świat.

Codziennie tutaj ktoś umiera. Czasem umieranie trwa wiele, wiele dni. Nikt się tym nie przejmuje. Kultura afrykańska inaczej podchodzi do śmierci, niż europejska. U nas śmierć stanowi tabu. Umierający są izolowani.

W Afryce jest odwrotnie. Tu, nad Jeziorem Victoria nie ma dziecka, które nie widziało by umierających. Malaria, cholera, tyfus, kiedyś czarna ospa, a teraz AIDS. Gdy ze śmiercią ma się do

czynienia na co dzień, przestaje się jej bać.

W Europie od człowieka chorego na AIDS wszyscy się odsuwają. Już prawie każdy wie, jak można się tą chorobą zarazić. Z drugiej zaś strony osoba mająca AIDS traktowana jest jak ktoś, kto zagraża kulturze współczesnej i obyczajom. Żaden artysta na Zachodzie nie ma prawa spokojnie umrzeć bez podjęcia o AIDS. Każdy Europejczyk mówi o AIDS, porusza równocześnie problemy moralności oraz społecznych skutków tej choroby.

Całkiem inaczej jest w Afryce. Nie wspomina się tam o zagrożeniu kultury, obyczajów czy stosunków społecznych, spowodowanych chorobą AIDS. Nikt chorych nie potępia i nie ma mowy o izolacji. Chorzy żyją wspólnie ze zdrowymi i dalej płodzą dzieci.

W ostatnich miesiącach sytuacja w Ugandzie nie jest poprawiona. W minio nej połowie tego roku zmarło tam na AIDS „tylko” 42 osoby, podczas, gdy w tym samym okresie roku ubiegłego zmarło ich 74.

Nowością jest kampania przeciwko AIDS, która nazywa się „Love Careful”. Na rozlepionych wszędzie afiszach widnieją dobrodusza twarz afrykańskiego Yoweri Museweniego, który nawoływa do „safer-sex”...

Tłumaczyła i opracowała BEATA BARTOSIEWICZ

„NABODRZE” 27. XI — 10. XII. 1986; ROK XXXII; NR 24 (681)

Wioska śmierci

Kyebe, mała rybacka wioska nad Jeziorem Victoria na południu Ugandy. Jedna trzecia mieszkańców umiera na AIDS, a połowa tych, którzy przeżyli, jest zarażona. Dziś wiadomo, że Kyebe jest ojczyzną śmiertelnego wirusa HIV. Stąd rozniósł się skażenie na cały świat.

Kyebe, to najmniejsza plama na mapie słonecznej Afryki. W ostat nich trzech latach dwieście spośród sześciuset mieszkańców zmarło na tajemniczą, nieuleczalną chorobę. Tubyli cy nazywają ją „slim”, czyli gorączka. Jest to AIDS.

Przed trzema laty Kyebe była pełnym życia portem na trasie przemysłowej z Mombasy do Tanzanii. Każdy, kto nie legalną drogą sprowadził do Kenii kawę, herbatę lub tytoń, nie omijał Kyebe. Towary rozładowane ze statków, rozwożone były stąd ciężarówkami do małych stacji misyjnych w promieniu dziesięciu kilometrów od Kyebe. Stamtąd małymi łódkami dostarczano je do Kenii.

Kyebe funkcjonowała nieźle na nielegalnym handlu. Ludzie zarabiali dobrze. Każda lepiej wyglądająca buda była barem. Piwo, whisky i „malaya” — to było życie rozrywkowe w Kyebe. „Malayami” nazywa się tu prostytutka. Nie kosztowały dużo: zaledwie tysiąc szylingów ugandyckich, co po czarnorynkowej cenie odpowiada jednej marce zachodnio-niemieckiej.

Prostytutki oraz przemysłnicy przewijają się przez wioskę i pochodzący ze wszystkich krajów afrykańskich spowo-

dowali, że wirus bardzo szybko rozprzestrzenił się w Kampali, Tanzanii, Rwan-dzie i Zairze, a przede wszystkim we wszystkich ośrodkach turystycznych Kenii.

Dziś osada złożona z glinianych chat wygląda na opustoszałą. Pierwszymi, które pominęły, były „malaya”. Te, które przeżyły, uciekły stąd. Nie ma po co tu siedzieć, skoro mężczyźni nie przy-bijają więcej do Kyebe. Zmarło życie i nad wsią zawisło widmo śmierci.

Nodena Nasimula ma 22 lata. Jej mąż zmarł przed ośmioma miesiącami na „slim”. Nodena żyje sama z dzieckiem. Na życie zarabiała sprzedając papierosy i banany. W odległości kilku metrów od jej straganu stoi Koonna Bar, przypominający niedawne dobre czasy. Tam Nodena pracowała. Wierzyć się nie chce, że była jedną z „malaya”.

Teraz wygląda staro, jest zmęczona, na twarzy ma cierpienie. Jej półtoraroczna córka jest miniaturką i zbyt słaba by plakać. Otwiera małą, skurczoną buzię, ale z jej gardła nie wydobywa się żaden dźwięk.

Nodena chodziła z dzieckiem do najbliższej stacji medycznej, która znajduje się na plantacji bananów, w odle-

głości dziesięciu kilometrów od Kyebe. Nie ma tam lekarza. Zastępuje go „medical assistant”. Jimmy. Kto do niego się zwróci, otrzymuje tabletki przeciwko biegunkę, niezależnie od choroby, na którą cierpi.

Zaopatrzenie w artykuły medyczne, to jedna wielka katastrofa. Ale nie Jimmy jest temu winien. Najbliższy szpital od-dalony jest od Kyebe o 50 kilometrów. Na przebycie tej drogi pieczołowicie potrzebuje co najmniej całego dnia.

Jimmy nie ma żadnych lekarstw, poza tabletkami na opanowanie biegunki. Za to ma prezerwatywy, które rozdaje bezpłatnie.

— Nie mogę nic zrobić dla twojego dziecka — powiedział do Nodeny. — Na choro-bę, jaką ma twoja córka, nie ma lekarstwa.

Córka Nodeny umrze tak, jak umarli jej mąż i pierwsze dziecko. Zadzziwiająca jest, że sama Nodena wciąż jest silna i zdrowa. Ale szansa, że nie jest zarażona wirusem HIV, ma się jak jeden do stu. Urodziła przecież dziecko chore na AIDS.

W środku wsi między chałupami widnieją obok siebie osiem niewysokich stosów kamieni, a w każdym tkwi drewniany krzyż. Są to groby całej rodziny: matki, ojca oraz sześciorga ich dzieci. Wszyscy zmarli na AIDS. Zo-stało przy życiu tylko najmłodsze dziecko, o które teraz troszczyć się sąsiedzi.

Kilkadziesiąt metrów dalej następne kamienne groby. Na lawce przed domem siedzi stary mężczyzna o siwych włosach. To Josephant Eliyoeziggaer. Ma 63 lata. Pod kamieniami pochował wszystkie swe dzieci: dwie córki i dwóch synów.

głości dziesięciu kilometrów od Kyebe. Nie ma tam lekarza. Zastępuje go „medical assistant”. Jimmy. Kto do niego się zwróci, otrzymuje tabletki przeciwko biegunkę, niezależnie od choroby, na którą cierpi.

Zaopatrzenie w artykuły medyczne, to jedna wielka katastrofa. Ale nie Jimmy jest temu winien. Najbliższy szpital od-dalony jest od Kyebe o 50 kilometrów. Na przebycie tej drogi pieczołowicie potrzebuje co najmniej całego dnia.

Jimmy nie ma żadnych lekarstw, poza tabletkami na opanowanie biegunki. Za to ma prezerwatywy, które rozdaje bezpłatnie.

— Nie mogę nic zrobić dla twojego dziecka — powiedział do Nodeny. — Na choro-bę, jaką ma twoja córka, nie ma lekarstwa.

Córka Nodeny umrze tak, jak umarli jej mąż i pierwsze dziecko. Zadzziwiająca jest, że sama Nodena wciąż jest silna i zdrowa. Ale szansa, że nie jest zarażona wirusem HIV, ma się jak jeden do stu. Urodziła przecież dziecko chore na AIDS.

W środku wsi między chałupami widnieją obok siebie osiem niewysokich stosów kamieni, a w każdym tkwi drewniany krzyż. Są to groby całej rodziny: matki, ojca oraz sześciorga ich

Przylatując na przykład do Frankfurtu nad Menem, nad Łabą, lądujemy nagle w świecie super luksusu, w budynku 1500 metrów długim, mieszczącym wszystkie możliwe cuda: przedstawicieli linii lotniczych, sklepy, restauracje, kawiarnie, kina, dworce kolejowe, wystawy artystyczne i tysiące innych atrakcji, a wszędzie uśmiechnięta, miła, grzeczna do przesady obsługa. Wszędzie też szybkość załatwiania wszelkich formalności przechodzi naszą wyobraźnię.

Właściwie (tym razem już po ciemnościach) mógłbym być smutkiem przekroczyć granicę RFN-Austria bez paszportu, bo nikomu nie przyszło na myśl gdziekolwiek podstępować mój „wyjazd” z jednego kraju lub „przyjazd” do drugiego...

Inny świat, całkowicie inna cywilizacja, gdzie nie znajdziesz pijaków, przez pryzmat, w czasie 21 dniowego pobytu spotkałem czterech lekko podpiitych: jednego we Frankfurcie, jednego w Wels i dwu w Wiedniu. To wszystko. Mniej więcej tyle spotykam co 10 minut na trotuarach Warszawy wieczorem.

W mniejszych hotelikach po klucze sięga się samemu ku całkowitej obojętności recepcjonistki. Jest ona i w rzeczywistości może być całkowicie pewna, że nikt nieuprawniony nieswojego klucza nie weźmie.

Poszły tu w niepamięć (nie licząc specjalistów i archiwistów) dawne romantyczne filmy, w których on kochał ją i po licznych przeciwnościach łączył ich z góry przewidziany w scenariuszu happy end.

Naturalnie w pewnej części twórczych przed wojną i jeszcze po wojnie filmów można było bohaterkę („Dama Kameliowa”, „Anna Karenina”) lub bohatera („Viva Villa”, „Tylko raz kochała”) uśmiercić, ale ten nieszczyśliwy koniec miał satysfakcjonować publiczność lubiącą się wzruszać i płakać.

Obecnie Zachód prawie doszczętnie wymiół takie filmy ze swego repertuaru.

Na ekranie przede wszystkim gwar i huk wojny („Pełna ładownica” Kubricka czy zwłaszcza „Topgun” oraz cała seria pomniejszych filmów wietnamskich), jazgot karabinów maszynowych krwawych jak sito filmów neo-gangsterskich („Niedotykalni”, „Czerwo na broń”), albo piekielne ryki i wrzaski rozpasanych zespołów młodzieżowych, które przebiegając nogami, fikając, koziołkując lub w postaci pionowej poruszając głową tak jakby dostawali nagłe silne uderzenia z prawej lub lewej, całkowicie pozbawieni głosu, udają śpiew.

Bez potężnych wzmacniaczy nikt by ich nie słyszał z drugiego rzędu. Ordynownie słyszano w 1500 miejsc liczącym kinie „Słońce” w Poznaniu także i w ostatnim 32 rzędzie, przy czym rozumiało się każde słowo jej piosenek...

Istnieją też filmy „miłosne”, w których miłość zostaje zobrażowana natychmiastowym pójściem do łóżka nowopoznanej pary, lub filmy w rodzaju „Wejście smoka” gdzie kto może i czym może (w tym łancuchami) obija swych przeciwników.

Na tym tle kina festiwalowe stanowią najczęściej oazę spokoju, zrównoważenia, doznań estetycznych, miejsce szlachetnych wzruszeń.

Na jeździe naukowców filmowych w Ludwigschafen największe uznania zdobyły filmy przepiękne hu-

manizmem, wśród których przede wszystkim nagrodzony „Złotym Lwem” w Wenecji film Louisa Malle’a „Zegnając dzieci”. Jest to pamiętnik Malle’a, który w czasie wojny chodził do szkoły klasztornej nie zdając sobie sprawy, że wśród kolegów ma w ten sposób ukrywanych przez klasztor, Żydów. Pewnego dnia w mury klasztoru wtargnęło gestapo. Wszyscy chłopcy żydowskiego pochodzenia zostali wywiezieni. Nazwiska straconych w Oświęcimiu pojawiają się na ekranie — tuż przed napisem „koniec”.



Narracja filmu jest dość powolna ale w zrecznie zmontowanych retrospekcjach syn wreszcie dogrzebuje się całej prawdy. Jak ma się teraz odnieść do ojca, którego matka przedstawiała mu zawsze jako wspaniałego człowieka i bohatera?

Doroczny przegląd filmowy w Mannheimie miał — rzecz jasna — ofertę znacznie szerszą zawierającą trzy gatunki filmowe: fabulę, dokument i dzieła eksperymentalne.

Właśnie filmy fabularne odstawały najbardziej od tych, jakie szły obok w

mi a pracownikami tureckimi. W wyniku wzajemnych ans wykonawczyń roli Julii, Turczynka musi zginąć. Film ostro protestuje przeciw tego rodzaju wzajemnym niechęciom.

Jednakże główną nagrodę w Mannheimie otrzymał film turecki „Przeciw wszystkim” Orhana Oguza. Jest to dość szczególna historia. Karawanarz (kierowca) żyje samotnie i wynajduje sobie przyjemną partnerkę życia obciążoną dzieckiem, którego ojciec zniknął. Chłopczyk odczuwa większą potrzebę posiadania ojca niż dziewczyna męża. Po pew-

musi przywrócić ją do pracy a szef musi odejść.

Były też filmy brytyjskie i kanadyjskie tym razem dokumentalne, które wykazywały całkowitą bezsilność (i brak zainteresowania) związków wobec jawnej niesprawiedliwości.

Niewątpliwie na manheimskim festiwalu największe wrażenie wywołał znów film węgierski, rozrachunkowy, pod tytułem „Nigdy, nigdzie, nikomu” Ferenc Teglásyego. Ukazuje on skutki wysiedlania ludzi nie uznawanych przez reżim stalinowski z ich rodzinnych domów w jakąś odległą pustą węgierską prowincję bez zabudowań i bez troski o to, z czego będą żyć. Jak się mieli dobrze przed wojną, to niech teraz cierpią. Głęboki i chwilałami przerażający film, chociaż robi wrażenie dokumentu.

Natomiast festiwal filmów austriackich w Wels (między Wiedniem a Salzburgiem) nosił podwójny charakter: współczesne filmy były też bardzo nowoczesne w sposobie ukazowania życia i realizacji, natomiast retrospektywa składająca się z tak zwanych „Heimati-filmów” przypominała dawne dobre czasy poczytywanej kinematografii austriackiej z lat przedwojennych, ale przed Anshlussem.

Filmy te, niezależnie od tytułu, reżysera, obsady a nawet od tego czy były barwne czy czarno-białe, pokazywały zawsze przepiękne austriackie góry i podgórze, mnóstwo leśnej zwierzyny i jakąś opowieść rozgrywaną się na tym fotogenicznym tle.

Jednakże i między nimi były filmy średnio udane lub całkiem niezłe, które oglądało się „z leką w oku”.

Prawdopodobnie każdy następny scenariusz był wariantem poprzedniego. Istniała zawsze w górskiej wiosce piękna i atrakcyjna dziewczyna, z reguły miała wyjść za mąż za najbogatszego górala w okolicy, zawsze pojawiał się „piękny i młody” (administrator, myśliwy, budowniczy tamy) i do happy endu dochodziło po licznych intrygach, niepo rozumieniach, zerwaniach i płaczach, ale było to na ogół zrobione zrecznie.

Wśród dziesięciu takich filmów kilka zwracało uwagę bardzo dobrą robotą reżyserską, w tym słynna „Geierwally” Hansa Steinhoffa wyróżniająca się zastosowaniem obiektywu anamorfozycznego (zweźającego) do pokazania „duchów gór” uformowanych przez białe chmury. Pomysł znakomity a rok prod. 1939! Najlepiej wyreżyserowany był film „Świeży powiew lasu” co nie dziwnego, gdyż twórcą był Paul May znany reżyser popularnych quasi-westernów.

Udało mu się nakręcić film w czasie budowy wielkiej tamy na rzece, która w taki sam sposób przeciwstawia interesy kraju z interesami miejscowej ludności, jak u nas tama pod Czorsztynem.

Z nowych filmów — podobają mi się „Pogranicze” Houchanga Allahyari, w którym młody pianista niesłusznie podejrzany o zabójstwo swego profesora, pod wpływem nacisku policji, zdecydowanie prokuratora i wbrew opinii psychiatry bierze na siebie winę, a gdy się okazuje, że jest niewinny — jest już za późno. Ze względu na przeżycia psychiczne całkowicie oddał się do życia i zostanie do śmierci w zakładzie psychiatrycznym.

Pośród pozostałych filmów austriackich, „Noc i dzień” Petera Mazzuchellego o śpiewaku rockowym i jego niewiódomej kochance jest typowym filmem „dla ludzi”. Nazwano go „Neuheimat-film” czyli filmem krajowym w nowym wydaniu.

STARE I NOWE

Leon Bukowiecki



„Nigdy, nigdzie, nikomu” — najlepszy na festiwalu filmów węgierskich

Innym — chociaż o wiele niższych lotów — filmem głęboko humanistycznym jest dzieło reżyserki z NRD Karoli Hattopp „Każdy marzy o własnym koniu”. Mała wiejska saga rodzinna, dobrze skomponowana i popisowa z całkowitą naturalnością grana przez małe dzieci.

Bardzo ciekawy był też film niemiecki Nico Hofmana „Kraj ojców — kraj synów”. Syn pewnego fabrykanta dorósłszy stara się zrozumieć powody samobójstwa swego ojca. Chociaż jego matka chce przed nim całą prawdę ukryć, wyrwa jej się słowo, że w czasie wojny „przejeżdżał kiedyś przez Polskę”. Syn jedzie więc do Polski i po zna, że strony przymusowo zatrudnionych w zrabowanej Żydów fabryce robotników, prawdę o tamtych czasach.

kinach (Schwarzenegger, Murphy, Stallone, Cruise i inni).

Piękny dziewiętnastowieczny film Maxa von Sydowa „Katinka” ukazuje nam dyskretną, elegancką miłość młodej żony starego, zresztą sympatycznego zawiadowcy stacji, do młodego i przystojnego zarządcy sąsiedniej dóbr. Cały ten film — zgodnie z obyczajem dziewiętnastowiecznym — ogranicza się do jednego pocatunku, a jednak miłość tych ludzi jest bardziej prawdziwa niż wszystkie współczesne nagości. Zanim dochodzi do drastycznych rozmów z jej mężem, biedna Katinka umiera na płucach.

Pięknym filmem jest też „Tajemnica Julii” produkcji holenderskiej i reżyserii Hansa Hykema na temat nieporozumień rasistowskich między Holendra-

nym czasie zgodnego pożycia, dziewczyny na uciekającą bohaterowi filmu chłopca, który wydaje się bardzo zadowolony, bo matka nie tylko trzymała go krótko ale i traktowała niesprawiedliwie.

Film bardzo piękny i także „starego stylu”.

Nieco nowocześniejszy był „Interes idzie jak zawsze” Lezli Ann-Barrett, produkcji brytyjskiej. Przedstawia on — nie zawsze skuteczną — walkę związków zawodowych o przywrócenie do pracy niesłusznie usuniętej „pierwszej ekspedientki”. Rolę tę gra jedna z gwiazd kinematografii brytyjskiej — Glenda Jackson. Film ukazuje, że wbrew aroganckiemu szefowi zakładu przy energicznym poparciu związku, sąd

Patron szkoły w Łupowie

„Kto pokocha przyrodę, nigdy nie będzie nienawidził człowieka” — napisał Włodzimierz Korsak. Te słowa lubuskiego pisarza i przyrodnika znane są dobrze uczniom Szkoły Podstawowej w Łupowie, z jej filii w Racławicach, w gminie Bogdaniec, w woj. gorzowskim. Rozmawiany w przyrodzie Włodzimierz Korsak często przebywał w Nadleśnictwie Bogdaniec. Wspólnie z inżynierem-leśnikiem Wiktorem Karcewskim z Bogdanca planował napisanie monografii „Puszczą gorzowską”. Poprzednią dyrektorką szkoły Bronisława Wemerska, biolog z wykształcenia, obecnie zastępca inspektora oświaty i wychowania, pamięta, że pisarz wraz z żoną Felicją, w październiku 1962 r. był gościem szkoły w Łupowie.

W 1984 r. Kuratorium Oświaty i Wychowania w Gorzowie, a następnie Ministerstwo Oświaty wyraziły zgodę na nadanie szkole imienia Włodzimierza Korsaka. Od tego momentu działania szkoły poszły w dwóch kierunkach: pracy wychowawczej przybliżającej młodzieży postać patrona oraz modernizacji placówki, w celu uczynienia jej godnej przyjęcia imienia pisarza.

Z kroniki prowadzonej od 1945 r. dowiadujemy się, że dawniej szkoła w Łupowie mieściła się w dwóch budynkach, w pobliżu których usytuowana została stacja pomp rurociągu „Przyjaźń”, biegnącego do NRD. Przed

siębiorstwo Eksploatacyjne Rurociągów Naftowych „Przyjaźń” w Płocku przeznaczyło 5 mln zł na budowę nowej szkoły i na przełomie lat 1969-70 rozpoczęły się prace budowlane. Za niecałe cztery lata stanął budynek, z ośmioma izbami lekcyjnymi, salą gimnastyczną, świetlicą, kuchnią i stołówką.

Dziś szkoła liczy 225 uczniów, którzy uczą się w dziesięciu oddziałach. Dwudziestoosobowym gronem pedagogicznym od trzech lat kieruje mgr Janusz Bukowski, fizyk i matematyk, absolwent WSP w Słupsku. W kronice szkolnej odnotowano już wiele zwycięstw uczniów z Łupowa w różnych olimpiadach, zwłaszcza języka polskiego i fizyki.

Ale największą osiągnięciem szkoły, którą patronuje Włodzimierz Korsak, posiada w turystyce i ochronie przyrody. Świadczą o tym liczne puchary i dyplomy za czołowe miejsca w młodych turniejach turystycznych, rajdach. Dwukrotnie wyróżniono szkołę za udział w tzw. Biegu Słowiańskim. W tym roku w imprezie tej uczeń Mariusz Szyniec zajął I miejsce i reprezentował województwo gorzowskie w imprezie okręgowej.

Turystyka jest przede wszystkim pasją nauczycielki — Elżbiety Jabłońskiej, która zawsze potrafi zachęcić młodzież i grono pedagogiczne do wędrówek i biwakowania, do aktywnego spędzania wolnego czasu.

Pogłębianiu wiedzy o życiu i twórczości Włodzimierza Korsaka służą bliskie kontakty szkoły z gorzowskim Muzeum Okręgowym, gdzie od 1972 roku znajduje się bardzo ciekawa, stała wystawa poświęcona temu pisarzowi i zwaney przyrodzie.

Pewne jest, że żadne dziecko z Łupowa, a także z okolic Bogdanca, nie pomyli Korsaka z Korczakiem (co zdarza się niektórym gorzowianom, niestety). Dorobek pisarza i jego ciekawe życie jest dzieciom dobrze znane. Niewątpliwie to zasługa zastępcy dyrektora Muzeum mgr Zofii Nowakowskiej, która wielokrotnie spotykała się z uczniami szkoły w Łupowie. Dodać należy, że to jej staraniem prochy pisarza, zmarłego przed 15 la-

ty w Domu Spokojnej Starości w Kra-kowie, sprowadzone zostały do Gorzowa.

Włodzimierz Korsak uczył miłości do przyrody. Dzieci szkolne w Łupowie przyrodę kochają i o nią dbają. Tradycyjnie już sadzą las; tylko w ubiegłym roku szkolnym zasadzili około 5 ha. Współpraca z leśnikami jest tu nie tylko formalnym zapisem w programie. Dzieci zbierają żółędzie i dokarmiają zwierzęta. Wiosną rozwieszają budki legowe dla ptaków, na zimę szykują karmniki. Przed budynkiem szkolnym pielęgnują piękny skalkin.

W kronice szkolnej upamiętniony jest m.in. rajd turystyczny imienia Wł. Korsaka, składanie kwiatów na je-

go grobie oraz spotkania z ludźmi, którzy go znali. Do tych osób należy działacz Polskiego Związku Łowieckiego Stanisław Górski. Odwiedził on szkołę w setną rocznicę urodzin Włodzimierza Korsaka, który także był zapalonym myśliwym.

Z tej samej okazji zorganizowano konkurs na okładkę książki Korsaka, tur-niej wiedzy o nim oraz montaż słowno-muzyczny, przygotowany przez nauczycielkę Stanisławę Czujko.

Miejsce pamięci o patronie szkoły nazywane jest „kącikiem Korsaka”. Punkt centralny zajmuje popiersie patrona szkoły — dzieło Michała Puklicza z Gorzowa. Są dwie grafiki Korsaka, albowiem ten niezwykle człowiek miał również talent plastyczny i sam ilustrował swoje książki. Szkoła posiada kserokopie wszystkich tych książek swego patrona.

Biblioteka szkolna wzbogaciła się o dwie nowe pozycje: „Tamte polowania” — Wł. Korsaka i zbiór szkiców o życiu i twórczości pisarza „Od Anin ska do Gorzowa”, obie wydane przez Gorzowskie Towarzystwo Kultury.

Głęboka — wiedza, Korsaka jako przyrodnika i myśliwego, jego talent literacki przejawiający się zwłaszcza w opisach przyrody, uzdolnienia plastyczne, jego prekursorskie poglądy do-tyczące ochrony naturalnego środowiska człowieka, to są także źródła, z których czerpie szkoła, wychowując swoich uczniów. W tym względzie z doświadczeń Łupowa, wsi oddalonej od Gorzowa zaledwie o 8 kilometrów, mogłyby skorzystać także inne placówki. Życie i dzieło Włodzimierza Korsaka zasłużyło sobie na trwałą pamięć, przynajmniej w regionie, w którym pisarz żył, tworzył i działał przez wiele lat.

ANNA MAKOWSKA-CIELEN

Fot. TADEUSZ LINKIEWICZ



Sceny miłosne w literaturze pięknej

— to dla pani — powiedziałem dumnie już czując że dobrze zrobiłem i że lepiej jabłko niż kanapkę ze smalcem i kiebasą.

— ale... — szepnęła pani i zaczerwieniła się tak mocno że ogień o mało nie buchnął z jej twarzy — ale ja nie mogę... — szepnęła mnie więcej.

Serce moje drgnęło przeszył je bolesny promień rany boskiej wywołanej w pani zażenowanie musiałem szybko ją ratować och skąd mogłem wiedzieć że tak się tym przejmie tak wzruszy tak bardzo, no oczywiście leżało przed nią czerwone jabłko wielkie jak arbuz a ogonek z tego jabłka stał lekko zakrzywiony w jej stronę a był wyjątkowo gruby i twardy brązowy pofalowany mocno i sterczał w jej stronę wygięty jednoznacznie.

Końca tamtego dnia leżało przy pani na stole i ona co jakiś czas dotykała je palcem albo chwytając za ogonek i pocierając go kręciła jabłkiem jak zabawką — bakiem, o mało nie umarłem z rozkoszy tamtego dnia chociaż na wszelki wypadek nie dotykałem już kutasika.

Pani kilka razy o coś mnie zapytała ale nie odpowiadając położyła więc swą cudowną dłoń na moim czole popatrzyła w oczy i dała spokój, oh przetrwałbym ją w każdej chwili gdyby nie to że mam stalowe nerwy i potrafię panować nad sytuacją.

Pani wybaczyla mi takie chwile słabości bo nie tylko mnie kochała ale i miała do mnie wielkie zaufanie, niejedną raz zastępowałem ją przy tablicy za stołem, — przeczytaj im — mówiła dając mi jedną z tych książek które jej poleciłem — o od tego miejsca ja zaraz wrócę.

— dobrze — odpowiedziałem a kiedy pani wychodziła czytałem po cichu smakując w najlepszej wielką prozę.

Na początku czytałem głośno ale mnie zakrzykli chłopaki gardlowo dziewczyny piskliwie: — co będziesz czytał! — nie przeszkadza! — cicho!

Wtedy czytałem półgłosem w harmidrze jaki narastał i tak nie było słychać, więc czytałem po cichu.

Gdy pani wracała ja siedziałem za stołem a wszyscy biegali po ławkach.

— co to ma znaczyć do diaska? — krzyczała pani i uderzyła otwartą dłoń w stół. Wtedy ja mówilem z godnością: — dopiero co skończyłem czytać a teraz szukacie jakiegoś nowego fragmentu. — pani spoglądała na mnie czule potem rzuciła surowe spojrzenie na klasę. — jak czytałem był spokojny — mówiłem dalej — dopiero co skończyłem...

— miałem dzięki temu dobre układy różne głupie koleśki zaprzyjaźniały się ze mną za to że nie naskarżyłem na nich a miałem u nich względy tym większe że z nich nie korzystałem.

— chcesz gryza? — pyta na przykład taki zbycho największy drań i chuligan, a ja mówię: nie dziękuję dziś nie jestem głodny. — wtedy on kładzie mnie po plecach. — dobra a jak będziesz kiedyś chciał to zawsze możesz powiedzieć.

Zbycho był dobrym koleśkiem na taki układ starsze chłopaki z nim trzymali i kiedy raz jeden z obcych chłystków strzelił mnie w głowę a zbycho widział to zaraz pobiegł po swoich starszaków, złapał frajera i wygrzmocił go na koniec zbycho pokazał na mnie palcem. — jak go jeszcze raz dotkniesz to będzie gorzej — i tak mu załadowano w szczenię że chłystek fiknął kózka a zbycho miał dobrego sierpa.

Raz jednak wchodził pani ja mówię to co zawsze wszystko jest jak zawsze pani jednak po kazuje zbycha palcem i mówi: — no to powiedz o czym on czytał, zbycho wstaje i stęka. — więc tak — mówi pani — nie uważałaś. — uważałem — burczy zbycho — nie nie było słychać — więc tak — mówi pani — wszyscy hałasowali. — nie! nie! — zahuczało w klasie. — kto hałasował? — zapytała pani poczekaj chwilczkę i spojrzaj na mnie.

Tak oto chciała mnie wypróbować chciała wiedzieć czy jestem jej oddany do końca i bez reszty, kochałem ją najbardziej na świecie ale są sprawy których nie wolno mieszać ze sobą tak mnie uczył wielki wódz: co innego miłość i pożądanie co innego honor męska lojalność i miejsce życia, nie zawahałem się ani chwili kochać tak aby miłość nie oślepiała nie ogłupiała to kochać najbardziej i najdoskonalej.

— nikt nie hałasował — odpowiedziałem na jej spojrzenie. — aha — stwierdziła pani z namysłem — więc zbyś nie uważał. — uważałem — zbycho prawie krzyknął i zrobiło się cicho jak makiem zasiał i tak makiem siał przez chwilę, sytuacja stała się tragiczną i zaraz pani coś powiedziała a zbycho pokazał na mnie wrednym paluchem. — to on wcale nie czytał! — czytałem — oznajmiłem z absolutnym spokojem bardzo żałując że wyżej postawiłem honor i lojalność wobec jak się okazało garści gnid i karaluchów głupich buców maminsynków i szubrawców przyszłych bandytów złodziei i zdrajców ojczyzny i kurw i najgorszych łajz niż miłość do mojej wybranki. — nie czytał! — zakrzyknął drugi po zbychu zabił ją czując że gruntu im się trzęsie pod nogami i najlepiej będzie zakrzyknąć. — nie czytał! — wrzasnęli inni. — pewnie że nie czytał!

A pani zbladła na policzki wyszły jej zielone plamy a czerwone lśniące wielkie usta zwróciły się do mnie ze słowami jakoś zdławionymi w gardle! — do diaska... nie mogłem dać za wygraną.

— a co robiłem? — wrzasnąłem mej wybrance w twarz, no oto pierwsza ważna próba między nami ja nie mogę sobie teraz pozwolić na to by runęła nasza miłość i to na oczach motłochu.

— co robiłeś? — szepnęła pani. — czytałem — i dźgnąłem palcem w zadrukowaną stronicę. — nie czytał nie czytał... — zasękało po nizinach po zarostach zielskiem zapuszczonych obranych przysypanych gruzem i śmieciami nizinach ale pani moja już odnalazła swoje umiłowanie położyła mi rękę na głowie a tam pod włosami było serce powieki ciężkie opadły taki się poczułem zmęczony tym starciem (...)

(CDN)

(Fragmenty prozy Dariusza Bitnera pochodzą z miesięcznika „Twórczość” nr 12 z ub. r.)

chinem w którym spędzała samotnie noce leżąc w białej haftowanej złotą nitką koszuli otulona puchowymi koldrami atlasowymi w kolorze błękitnym i pomarańczowym a na nocnym stoliku książki które ode mnie pożyczła aby wybierać fragmenty do przeczytania tej beznamiętnej holocie, w gruncie rzeczy dobrze wiedziałem że pani czyta to dla mnie tylko dla mnie tylko dla mnie.

Kiedy był śmieszny fragment to się śmiała i patrzyła czy ja też się śmieję i ja się śmiałem bo pani uśmiechnięta była piękniejsza niż zazwyczaj buzię miała podobną do placka z malinami, reszta klasy udawała że się śmieje bo ani nie uważała ani nie rozumiała tego wszystkiego gdy działa się rzecz straszna pani przerywała na chwilę i smutnymi oczami omiatała klasę ale nie złościła się tragicznie tak ponać głowami w ścianie chyba tajemne utrwalone w ścianie za plecami wszystkich jak jakaś muszka w bursztynie ja siedziałem wtedy podparty na dłoni zadu many niby przy zbójckim ognisku gdy cyganki śpiewają rzewne pieśni a my utrudzeni zbójowaniem wspominamy chyłszy się ku kółcowi dzień który znów udało nam się przeżyć mimo

PIERWSZE OPISANIE

Dariusz Bitner

(3)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

zdradzieckich sztyletów jakie kupcy zawsze chowają gdzieś w zanadrzu i mimo kul z ich pistoletów które tylko bzykały przy naszych uszach, reszta klasy przerażona że może oberwać im się za hałaśliwe bąblowanie zamierała na moment, pani znów zaczynała czytać a idioi znów bucząc mrużąc strzelał z rurek trzępąc po uszach płuc za koimierze nawet nie wiem co jeszcze bo nie wiem co można robić z taką beznamiętnością przez całą godzinę, głupio ale już najgłupsze to dziewczyny nie tylko cienko piskujące między sobą i brzydkie jak najgorsze koszmarny albo chude jak patyki z przereźzanymi zębami albo grube, sapiące z zębami żółtymi i wielkimi od ucha do ucha może nawet jeszcze dalej jak z nich kiedyś wyrosnie chociaż jedna piękna kobieta to będzie święty anioł albo książd kapelan, jednak nie robiłem im niczego złego nie ciągnąłem za te kretyńskie warkoczki nie dawałem kopa poniżej kokardki zawieszanej z tyłu fartucha chociaż przynajmniej za zawsze miałem na to straszną ochotę i zadrósłem tym jopom który nie przejmując się przyszłością kopal i jęczały sucho tyłki dziewczuch albo płaskaty tych tłustych, wiedziałem jednak że nazbyt świetnie że czas jest nieubłagany kiedyś te pokraczne dziwada dorosną żadna nie będzie tak piękna jak pani ale może jednak mimo wszystko zmienią się trochę na lepsze gdy im wyrosną cyce przybędzie rozumu gdy zrobi się z nich dziura której dobrze to wiedziałem jeszcze nie mają ani nawet nie domyślają się że będą mieć kto wie wszystko się może zdarzyć i wszystko się zmienia ech niczego nie można być pewnym jeśli chodzi o te wstrętne dziewczynki, żadnej nie kopnąłem nie oblałem wodą nie zepchnąłem ze schodów w ogóle nie a nawet niektórych wybranych tak na męskie wyczucie dałem a to śnia danie a to ołówkę a to pozwolenie przepisać zadanie domowe a to pomogłem włożyć tornister byłem absolutnie w porządku co chciałem mieć kiedyś możliwość wyboru bo nigdy nie wiadomo naprawdę czy to wiadomo jakie figle spłata człowiekowi los? nie wiadomo nie, od żadnej jednak nie wziąłem niczego nie mogłem się nazbyt pochopnie zobowiązać.

Zresztą zauważyłem że mój stosunek do głupich dziewczuch podobał się pani jakże by inaczej ona przecież wszystko doskonale rozumiała, jej też pomagałem nosić różne rzeczy mapę stos zeszytów nie mogłem robić wyjątków podarowałem więc też raz jabłko duże czerwone na zapach słodkie i soczyste jak diabeł wiele mnie kosztowało żeby go nie ugryźć takim dużym chapssem jak to ja potrafię żeby dotrzeć do odpowiedniej chwili po czym położyłem jabłko na stole przed oczami.

Kiedy stanęła na czworakach nie nie przeszkodził abym tam włożył rękę abym tam wskoczył mimo wszystko lepiej wcisnąć się do pani niż do krowy tylko że do krowy miałbym większe szanse, ale u pani ho ho siedziałbym skulony by mnie owiewały ciepłe prądy powietrza książki owinięte dookoła leżałyby sobie tam jak basza jakiś jak król tylko może kutasik by wystawał z ukochanej pizdy pani, zawsze by go mogła dotknąć palcem żeby dać znać że pamięta o mnie i mnie kocha.

Bez miłości dla mnie się nie liczy, raz miała w klasie zastępstwo gruba obrzydliwa baba która uszy w starszych klasach geografii, dała mi dwie za to że nie uważałem na lekcji wytargała za włosy resztą sił walczylem ze sobą żeby nie wyjąć miecza z pochwy i nie ciąć jej głowy, a taką miałem ochotę nabić ją potem na dzidę i maszerować tak z nią dookoła boiska wolałem jednak nie robić sobie kłopotów tęskniłem do pani a wszystko mogło przeszkodzić w naszym jak najszybszym spotkaniu.

Tymczasem chłopaki dostali jakiegoś fioła. — ale brocho — powiedzieli na przerwie. — widziałeś? — taka — zének zatrzymał ręce w takim ułożeniu jak gdyby trzymał w nich niewidocznego arbuza. — jak dynia — powiedział kto inny. — jak zgłnia dynia — poprawił go jeszcze inny, wszyscy zarechotali. — zgłnił flak. — taki rupieć he he...

Nastawiłem ucha podszedłem bliżej no oczywiście wszyscy zaraz zrozumieli; przez całą lekcję podglądali tę grubą klempe. — to nie widziałeś? — zapytał mnie mietek, on właśnie odkrył całą sprawę: geografica miała straszną minioną lubiła modne stroje a do tego miała kądun jak stodoła i całą lekcję siedziała za stołem tylko do mnie podeszła żeby wytargać za włosy, a tak to nie miała siły chodząc, siedziała rozparta na krześle kłocowate nogi trzymała rozłożone szeroko. — wystarczyło się schylić — powiedział mietek — a tam taaka brocho.

— a brudna... — dodał kazik — aż czarna. — te majty widziałeś?

— no chyba miesiąc nie prane tak się ściagnęły i weszły w pizdę. — jak? — spytałem zdumiony. — tak wzdłuż w przedział tłu mogłaby te gacie zmienić. — i wyjaśnił że wystarczy upuścić coś schylić się po czym popatrzyć między jej tłuste giry. — a tam taka kapucha. — ona specjalnie tak szeroko trzyma żeby przewietrzyć. — właśnie przez całą lekcję słyszałem jak coś komuś upada teraz wszystko zrozumiałem.

Zaraz jak tylko geografica rozsiadła się za stołem rzuciłem na podłogę ołówek. brzdęknię! potoczył się pod ławkami prosto w stronę wystawionych kopyt grubej, schyliłem się jak mogłem najniżej wbiłem oczy między jej uda, zobaczyłem że pończochy kończą się cienkim paskiem i wylewa się z nich białe ciałko do pizdy jednak nie sięgnąłem a ołówek — turlał się hałaśliwie, zacząłem więc iść za nim na czworakach pod ławkami z oczami wlepionymi między grube nogi i jak w głupim śnie po kilku krokach zobaczyłem obrzmiały bulcasty plasek częściowo zakryty różowymi gaciami ale wystający po obu stronach i wstrętnie ohydnie plugawie chorobliwie bydlęco dziko głupio i naprawdę brzydko i niesmacznie ze wszystkich stron obrośnięty dookoła włochaty diabełski kuper, zbaramiałem na ten widok a geografica podskoczyła jak dżgnięta w to włochate siedlisko.

— myślisz że nie wiem co tam robisz? — wrzasnęła — ty mala świnię — wyjęła mnie spod ławki za ucho — ja cię cały czas obserwuję ale teraz inaczej pogadamy. — podniosła mnie za ucho do góry i przysunęła do swojej odtłuszczonej mordy, majtałem beznadziejnie nogami w powietrzu. — ja cię nauczę podglądać — oznajmiła nie nawistnie i wtedy zrozumieliśmy że już na poprzedniej lekcji zorientowała się we wszystkim i akurat mnie przydybała, potarła mi za ucho energicznie wisiąłem jak bezwładna kukła a moje nogi obijały się o jej brzuch. — jeszcze będziesz kopał? — ryknęła przeraźliwie z gęby cuchnęła jej gorzej niż z dupy tamtej klaczy. — pójdziesz do dyrektora!

I wtedy nie wytrzymałem i puściłem tak głośnego baka że geografica o mało się nie przewróciła gęba jej napęczniała nabrała koloru dojrzalej śliwki a na policzki wyskoczyły plamy no i zaczęła trzępąć mną jakbym był zakurzoną ścierką, dookoła roztoczył się smród ale mój smród to był rozmarznięty w porównaniu z odorem jej tłustego cielska, jechało od niej jak z najbliższej kloaki jechało tak że na moment odcierało mi się w ogóle myśleć o kobiecych pizdach odcierało mi się w ogóle żyć, teraz dobrze zrozumieliśmy dlaczego faceti się rozpijają siedzą w knajpach zamiast wracać do domu a kiedy wracają zaczynają tłuc żony i meble. tej geograficy też żaden facet na pewno nie chce ruchać dlatego gnieje głupieje robi się z niej wredna kwoka, dobrze jej tak niech skisnie skoro taka niech dostanie fioła do końca niech ją zsiągną trafi.

Niedługo potem na szczęście wróciła pani znów byłem kimś i wdychałem podniecające perfumy kiedy przechodziła obok mnie. — co teraz czytasz? — pytała od czasu do czasu a ja pokazywałem z dumą, jej podziw dla mnie rósł jak na drożdżach.

Po pewnym czasie zrozumieliśmy że opowiadała o mnie innym paniusiom bo pokazywały mnie sobie na korytarzu kręciły natapirowanymi lepetnikami cmokały pod nosem, ja przy oknie sobie czytałem zamiast biegać z wazaskiem jak to wszyscy w szkole mają w zwyczaju. (...)

Nie traciłem oczywiście czasu i jako wytrawny tropiciel usiłowałem wykryć gdzie pani mieszka, czatowałem na nią przy szkolnej bramie nie raz do późnej nocy z niewiadomych powodów pani siedziała nieraz w klasie tak długo jakby w ogóle nie miała domku indyjski żywot nauczył mnie jednak cierpliwości. — dzień dobry — mówiłem jak gdyby nigdy nie gdy czasem wyszła niespodziewanie prosto na mnie. gdy wyszła nie widząc mnie wtedy ja za nią od słupa do słupa od drzewa do drzewa za kiosk ruchu do wózka z wodą sodową do narożnika domu patrzyłem w jej wspaniałą pupę drgającą od kroków jak piękny zad klaczy i szedłem za nią krok w krok, nigdy nie widziałem że ją śledzę i o to właśnie chodziło. światowej sławy detektyw Holmes był na tropie tajemniczej pani był na tropie jej drgającej pupy wystarczyłoby żeby tylko podniosła ogon a wskoczyłbym od razu w tę galaretkę chlup bym wpadł plum bym zniknął w niej i opadł powoli aż na samo dno, słynny detektyw tropił drogę do jej domu gdzie w jednym pokoju stało tylko szerokie łóżko z baldachem



Przed laty Gorzowskie Towarzystwo Naukowe wydało kilka publikacji, m.in. z serii „Zeszyty Gorzowskie”, poświęconych różnorodnej problematyce społeczno-gospodarczej i kulturalnej regionu. Wykorzystało z tego materiały z rozmaitych sesji popularno-naukowych, jak i teksty pisane specjalnie przez miejscowych autorów. Potem, przede wszystkim z takich przyczyn jak kłopoty finansowe, brak papieru oraz własnej poligrafii — GTN jako wydawca zamknął na kilka lat. I dopiero w ub. roku dał o sobie znać publikacją rzetelną i bogato udokumentowaną, omawiającą dzieje gorzowskiej prasy w latach 1945-1985. Autorami tej ze wszech miar pożytecznej monografii są Krystyna Kunicka, Bogdan J. Kunicki i Henryk Szczepański. Publikacja została dotowana przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie Wlkp.; taki gest musi wzbudzić wyłącznie uznanie dla ludzi, których zwykle określa się — w znaczeniu pejoratywnym — „urzędnikami od kultury”. Taką generalizującą opinią, jak wiadomo choćby na tym przykładzie, nie zawsze jest uzasadniona.

Użyłem na wstępie tego omówienia kilku przymiotników, określających walory gorzowskiej monografii. Cieszy, że znajduję te moje opinie po twierdzeniu w słowach, cytowanych na skrzydełku obwołuły, napisanych przez recenzenta książki prof. dr hab. Hieronima Szczegółę: „Przygotowana przez zespół gorzowskich autorów monografia (...) prasy jest jedną z nielicznych tak obszernych i doskonale udokumentowanych prac tego typu w kraju. Autorzy przeprowadzili szczegółowe badania, dokonali gruntownej analizy zawartości treści poszczególnych tytułów i w rezultacie otrzymaliśmy monografię stanowiącą udaną próbę analizy historycznej, socjologicznej i prasoznawczej bardzo istotnego dla integracji społeczeństwa na ziemiach zachodnich zagadnienia. Sumienne poszukiwania autorów i trafne na ogół oceny wyników badawczych ukazały, że nawet w ośrodkach średnich, jak Gorzów Wlkp., czy wręcz małych, jak dawne miasta powiatowe, albo nawet w ośrodkach miejsko-gminnych (Kostrzyn, Drezdenko), prasa lokalna stanowiła ważny czynnik integrujący oraz aktywizujący miejscowe środowisko. Bardzo wysoko oceniam tę monografię i uważam, że będzie ona cennym źródłem do poznania przemian społecznych na ziemiach zachodnich”.

Tyle prof. Szczegół. Skromnie dodam, że w pierwszych latach powojennych jako mieszkaniec Gorzowa — a później i w latach późniejszych — miałem możliwość bezpośredniej obserwacji lokalnego rynku prasowego, zawsze chłonnego na miejscowe tytuły prasowe, żeby dla przykładu wymienić wydawany po wojnie „Tygodnik Katolicki”, pismo ambitne i wciąż nie dewocyjne, czy też — „Stilon Gorzowski”, będący przez pewien czas czasopiśmie szeroko otwartym na problemy miasta, nie tylko macierzystego zakładu. Nie ukrywam, że w tych też pismach jako uczeń, a później dojrzały człowiek zdobywałem „ostrogę” dziennikarską. Dowody odnalazłem w monografii...

We wstępie do tej publikacji Bogdan J. Kunicki omawia jej założenia, zaznaczając iż przedmiotem badań są przede wszystkim pisma periodyczne (np. dzienniki i tygodniki), mutacje terenowe pism poznańskich, wrocławskich i zielonogórskich, jednodniówki, dodatki specjalne do czasopism oraz biuletyny o charakterze prasowym. „Prasa regionalna — pisze autor — ze wszystkimi jej wadami i słabościami, stanowi obfitość, interesującą dla badacza wręcz niezastąpione źródło informacji o czasach minionych. Jest bezpośrednim, zwłaszcza dla

SYGNOWANE PRZEZ GTN

prasoznawców, materiałem źródłowym o samych periodykach oraz ich twórcach: o stanie merytorycznym i technicznym wydawnictwa, zainteresowaniach, preferencjach, sposobach ukazywania oraz interpretacji rzeczywistości, założeniach światopoglądowych i ideologicznych leżących u podstaw dominującej strategii kształtowania opinii publicznej. Jest również rezerwuarem wiadomości o faktach zewnętrznych — stosunkach społeczno-politycznych, procesach ekonomicznych, wydarzeniach kulturalnych — słowem, o całym złożonym kontekście, w jakim funkcjonują i które opisują czasopisma”.

Monografia zawiera cztery podstawowe teksty. Krystyna Kunicka omawia prasę Gorzowa w latach 1945-1975 z podziałem na obszary prasy ogólnoinformacyjnej, prasy społeczno-kulturalnej i gospodarczej, prasy zakładowej, prasy religijnej i prasy różnych. Prasę Gorzowa z lat 1976-1985 poświęcił swoją pracę Bogdan J. Kunicki, ustalając następującą systematykę: prasa ogólnoinformacyjna, pisma społeczno-kulturalne i naukowe, prasa zakładowa, biuletyny wewnątrzorganizacyjne (partyjne, związkowe, młodzieżowe i kościelne) oraz wydawnictwa różne. Natomiast Henryk Szczepański zajmuje się dziejami prasy terenowej na ziemi gorzowskiej w latach 1945-1985 na przykładzie tytułów wydawanych w Choszczynie, Dębnie, Drezdenku, Kostrzynie, Międzybóżu, Międzybórzcu, Mydliborzu, Skwierzynie, Słubicach, Strzelcach Krajeńskich i Sulęcinie. Wreszcie — Bogdan J. Kunicki w osobnym szkicu omówił „Specyficzne funkcje gorzowskiej prasy”. Aneksy, opracowane przez Krystynę Kunicką, zawierają indeksy tytułów prasy gorzowskiej, wykaz pism gorzowskich z lat 1945-85 według roczników, indeksy członków autorskich sto warzystwa twórczych oraz nazwisk wstępujących w publikacji. Teksty uzupełniają reprodukcje wnień omawianych tytułów.

Inną, już tegoroczną publikacją GTN jest „Rocznik Gorzowski” — cenny zbiór wypowiedzi poświęconych przede wszystkim działalności i dorobkowi ruchu naukowego. Są to głównie materiały z ogólnopolskiej sesji naukowej, która odbyła się na ten temat w Gorzowie w czerwcu 1986 roku. Jej hasłem wywołańczym było: Stan i perspektywy rozwoju regionalnego ruchu naukowego w Polsce. O „Uspołecznieniu nauki” wypowiada się prof. Jerzy Topolski, inni autorzy prezentują towarzyszą naukowe w Białymstoku, Gdańsku, Gorzowie, Kielcach, Zielonej Górze, Łodzi, Międzybóżu, Podlaskim, Opolu, Poznaniu, Szczecinie, Toruniu. W dalszej części pomieszczono fragmenty wypowiedzi uczestników sesji podczas dyskusji.

W cyklu „Artykuły, studia, rozprawy” znajdujemy m.in. interesujące prace Bogdana J. Kunickiego pt. „Gorzowskie środowisko twórcze: dziesięć lat później” i Wojciecha Sroczyńskiego o „Aktywności kulturalnej studentów Gorzowa”, natomiast jako „Komunikaty z badań” przedstawiono teksty Aliny Mickiewicz o „Prześlądach ludowych mieszkaniec Deszczna związanych z cyklem dorocznym” i Ludwika Paszczuka o „Roli czytelnictwa w życiu mieszkańców wsi gorzowskiej”. Ponadto „Rocznik Gorzowski” zawiera materiały źródłowe i wspomnieniowe, noty i sprawozdania, recenzje i kronikę życia naukowego. Jak wyjaśnia w słowie od redakcji Bogdan J. Kunicki, ma to być stałe cykliczne gorzowskie wydawnictwo naukowe. Jeśli sądzić po pierwszych zeszytach, zapowiada się ono interesująco...

ZENON LUKASZEWICZ

Krystyna Kunicka, Bogdan J. Kunicki, Henryk Szczepański: Prasa gorzowska w latach 1945-1985. Wyd. Gorzowskie Towarzystwo Naukowe, Gorzów Wlkp., 1987 r. Str. 243. Nakład 1.200 egz. Cena 25 500. — Rocznik Gorzowski. Pod redakcją B. J. Kunickiego. Wyd. Gorzowskie Towarzystwo Naukowe, Gorzów Wlkp., 1988 r. Str. 231. Nakład 500 egz.

Nowości Wydawnictwa Poznańskiego

- * Isaac Asimov: Fundacja i imperium. Przełożył Andrzej Jankowski. Seria SF. Wyd. I, nakład 50 tys. Str. 273. Cena 420 zł.
- * Jan Brygier: Tak było w moim życiu. Wyd. I, nakład 3 tys. Str. 308. Mapa: „Miejscą związaną z ruchem robotniczym w Poznaniu w okresie międzywojennego dwudziestolecia”. Cena 600 zł.
- * Antoni Czubicki: Powstanie Wielkie polskie, 1918-1919. Genezą — charakter — znaczenie. Wyd. II poprawione i uzupełnione, nakład 5 tys. Str. 537. Cena 900 zł.
- * Ryszard Danecki: 112 godzin szczęścia. Opowiadania z różnych lat. Wyd. I, nakład 8 tys. Str. 132. Cena 150 zł.

- * Nikos Chadzinikolaou: Feniks (Poem). Wyd. I, nakład 3 tys. Str. 115. Cena 120 zł.
- * Marek Fiedler: Szalony koń. Wyd. I, nakład 60 tys. Str. 170. Cena 360 zł.
- * Hermann Hesse: W słońcu dawnych dni. Opowiadania. Przełożyła z niemieckiego Małgorzata Łukasiewicz. Wybór — Maria Szematowska. Wyd. I, nakład 10 tys. Str. 400. Cena 650 zł.
- * Czesław Łuczak: Od Bismarcka do Hitlera. Polsko-niemieckie stosunki gospodarcze. Wyd. I, nakład 5 tys. Str. 526. Cena 1400 zł.
- * Lech Słowiński: Odważni mądrością. O reformatorach edukacji i nauki polskiej w dobie oświecenia. Wyd. I, nakład 4 tys. Str. 344. Cena 650 zł.
- * August Strindberg: Dramaty królewskie. Dramaty liryczne. Wybrał i przełożył ze szwedzkiego Zygmunt Łanowski. Posłowie — Lech Sokół. Seria dzieł pisarzy skandynawskich. Wyd. I, nakład 15 tys. Str. 624. Cena 700 zł.

Teresa Lisowska w roli Kati i Zbigniew Moskwa jako Lippi



Sprawy potoczne i ostateczne

Nie lubię w teatrze sztuk obyczajowych, nie lubię oglądać kawałka życia w takim samym kształcie, w jakim mogło go zobaczyć tuż za ścianą. A „Gorzkie żale w dozorówce” są właśnie taką obyczajową sztuką rozgrywaną się w naturalistycznym wnętrzu, współcześnie i — oprócz sztucznie wprowadzonej przerwy — wszystko to, co na scenie, mogłoby się zdarzyć w życiu. Zdecydowanie wolę, by teatr przemawiał do mnie magią scenicznego skrótu, umownością podtekstu, kompozycją scenicznego obrazu, kostiumem.

U Csurki jest zwyczajnie. Przed rozpoczęciem pracy robotnicy przychodzą na kielicha do meliny, matka zabiera się za sprzątanie, jej chłop marudzi, syn, który wczoraj wyszedł z więzienia, jest jeszcze pijany, córka wróciła z nocnej zmiany, zdążyła odprowadzić dziecko do żłobka. I byłoby jak co dzień, gdyby nie przysięga grupy socjologów, którzy chcą poznać środowisko dozorców m.in. za pomocą pytań o ulubione programy telewizyjne. Trwa ten dialog o sprawach potocznych, ba, nawet banalnych. Co wrażliwi widzowie zrywają się na dosadne słownictwo, na lejącą się wodę. Aż tu nagle, my, widzowie, konstatujemy, że na scenie mówi się o kondycji człowieka, o jego wpisaniu w historię, o polityce, o eschatologii. W obskurnej dozorówce następuje spłatanie spraw potocznych i ostatecznych.

Istvan Csurka powiedział w jednym z wywiadów („Tygodnik Kulturalny” nr 26 z 1985 r.), że pisze tylko o Węgrach i tylko dla Węgrów. Tymczasem wyraźnie widać, że losy i postawy Węgrów są niezwykle podobne do losów Polaków. Nie poprzez realia lecz uwarunkowania historyczne i ustrojowe. Ileż w tej sztuce straconych nadziei, ileż zmarnowanych możliwości, stłamszonych ambicji, jakież pocucie krzywdy i niesprawiedliwości. Egzemplifikacji dla tych zjawisk, my, Polacy, nie musielibyśmy szukać na Węgrzech. I ci z meliny, i ci wykształceni, są bezbronni wobec rzeczywistości. Jedni swoje nieszczęścia u-

krywają za maską oglady i kwiecistego pustostawia, inni — za pogłębieniem przyjętej społecznej roli człowieka z marginesu. Dopiero alkohol wyzwolił prawdę, ujawni głąbię przeżyć i rozterek.

„Gorzkie żale w dozorówce” to nie jest zwykła obyczajówka. I nie tragikomedia, jak chciał nam wmówić autor. To wielka i ważna rozprawa o współczesnym społeczeństwie w państwie socjalistycznym. Nie tylko na Węgrzech. To sztuka także o nas, Polakach. I dlatego, choć rozgrywa się w naturalistycznym wnętrzu, choć wszystko, co na scenie, mogłoby się zdarzyć w życiu, zobaczyliśmy na gorzowskiej scenie prawdziwą teatralną syntezę. Sceniczne dzieło dużej klasy.

Ten dobry teatr wynika także z reżyserii i wyrównanego aktorstwa. Ręka reżysera jest tu niemal niewidoczna. Życie na scenie toczy się tak, jak w zwykłym pokoju. Aktorzy siedzą, stoją i mówią także tyłem do widowni, by było prawdziwie. A przecież wyraźnie wyczuwa się, że to reżyser — Janusz Kozłowski — najgłębiej przeżył i poznał sztukę węgierskiego pisarza, że wskazał aktorom głębię ich banalnych z pozoru osobowości.

Najpełniej pokazała Jonaszową — dozorczynię Maria Wójcikowska. Ciepła, bliska, cudownie pogodzona z życiem, uśmieająca wszędzie zobaczyć jego dobre strony, a jednocześnie rygorystyczna, przestrzegająca norm etycznych nawet w melinie. Prawda i tylko prawda emanuje z jej gestu, spojrzenia, głosu. Dawno nie słyszałam w gorzowskim teatrze tak czytelnie i melodyjnie podawanej frazy.

Jej syn — Rudi — chyba najlepsza, jak dotąd, sceniczna kreacja Mirosława Rostkowskiego — to syn polskiego oficera, porzucony przez ojca, wychowany w melinie. Rostkowski daje mu szpan herolda bandy i absolutne zagubienie, gdy Irena odkrywa w nim serce oraz najgłębiej ukrytą tęsknotę do miłości. Z grona socjologów korzystnie wybiła się Dorota Wierzbicka jako Irena. Zza

uczonej miny i poznawczych ambicji przezierna ufa dziewczęca dusza i marzycielski charakter. Irena chciałaby być po prostu kobietą.

Kolejną bardzo dobrą kreację stworzył Wojciech Deneka jako Istvan Hercóg — poeta i pisarz, na scenie aranżer zabawy w odwrócenie ról, czyli socjologowie na cenzurowanym. Rozdarta dusza, nie zrealizowane plany twórcze, udawanie, udawanie, udawanie. I odrobina radości, że można było dziecko wechnąć do żłobka.

Wraz z pogłębieniem się warstwy znaczeniowej sztuki rodzą się pytania o przyczyny. Dlaczego Hercóg nie może w wierszach i powieściach powiedzieć tego, co zadreżca jego myśli? Dlaczego Polgar, chłop z krwi i kości, którego w latach 50-tych rozkułaczono, siedzi w miejskiej melinie zamiast uprawiać rolę? Dlaczego Lippi, kierownik zespołu socjologów, człowiek na pewno zdolny i z ambicjami, musi wymyślać pseudo-problemy i pseudoankiety? Dlaczego takie bezsensowne pomysły są wysoko cenione? Dlaczego Sas, przedstawiciel Miejskiego Zarządu Nieruchomości, musi bez przerwy kłamać, by utrzymać swoją pozycję w administracji?

Jest w „Gorzkich żalach” także nastroj bezsilności, niemocy. A przecież w finale — nie do końca wiadomo, czy w pełni świadomie, czy tylko w pijanym widzie — uczestnicy przypadkowego spotkania w dozorówce śpiewają pieśń przywołującą postać Kossutha, bohatera narodowego Węgier. Pieśń ta nie jest w Polsce powszechnie znana, nie może więc być dla polskich widzów czytelną punktą. A może dałoby się zamienić ją na inną, bliższą polskiemu odbiorcy a niosącą taką samą funkcję znaczeniową?

KRYSZYNA KAMIŃSKA

Teatr im. J. Osterwy w Gorzowie. Istvan Csurka — Gorzkie żale w dozorówce. Przekład Tadeusz Olkasz. Reżyseria i scenografia — Janusz Kozłowski. Obsada: Jonaszowa, dozorczyni — Maria Wójcikowska, Istvan Hercóg, młody poeta i pisarz — Wojciech Deneka, Polgar, nieślubny mąż Jonaszowej — Marek Pudłko, Kati, córka Jonaszowej — Teresa Lisowska, Rudi, syn Jonaszowej — Mirosław Rostkowski, Sas, przedstawiciel Miejskiego Zarządu Nieruchomości — Zdzisław Łatoszewski, Lippi, kierownik zespołu socjologów — Zbigniew Moskwa, Zuzanna Poos, socjolog — Elżbieta Dominińska, Anna Felleg, socjolog — Grażyna Sułkowska, Irena Visegrád, socjolog — Dorota Wierzbicka, robotnicy budowlani — Danuta Malinowska, Bożena Pomykała, Eugeniusz Pauksto.



Organizowanie przestrzeni przez Czesława Łuniewicza

Czesław Łuniewicz przygotowując od trzech lat swoje dwie indywidualne wystawy zwierzył się, że jest nieco znudzony tradycyjnymi przedsięwzięciami, na które był skazany przez podjęte tematy. Miał na myśli dużą wystawę w Muzeum Ziemi Lubuskiej „Moje współczesność”, na której przedstawił twarze przeszłości stn swoich przyjaciół i znajomych z różnych konstelacji towarzyskich, oraz kolejną ukazującą rozbudowę Zielonej Góry a prezentowaną także w Muzeum z okazji trzydziściopięciolecia odzyskania miasta.

Obie te wystawy potwierdziły wysoki możliwości Czesława Łuniewicza w zakresie tradycyjnej, dobrej fotografii rzeczywistości nie będąc tylko jej mechaniczną rejestracją. W zakresie poszukiwań formalnych twórców nie wychodził celowo poza jasny wykład o obiek-

tywności fotografii. Zapewne ten trud zrodził chęć do poszukiwań formalnych, do wypowiadania się w technikach innych.

Tęto należało domniemywać, aż do momentu obejrzenia 23 fotografii o wymiarach 60x90. Stało się jasne, że Czesław Łuniewicz przez budowanie obiektów i przestrzennych aranżacji, przez wmontowanie płyt, kół, lańcuchów, luster, lin wpisał się w działania neokonstruktivistyczne i te, które negują tradycję a określają się jako pop-art, sztuka wizualna, czy estetyka kolażu. Poetyka tego zapisu i jego teoretyczna koncepcja nie są jednoznaczne. Jest to przedsięwzięcie twórcze w działalności Czesława Łuniewicza zupełnie nowe. Czarne ramy obejmują fotografie przetworzonej rzeczywistości, której realność nie budzi zastrzeżeń. Przez odpowiednią kompozycję i wielowarstwowość nałożonych fragmentów z tych samych fotografii stworzona została nowa jakość z pogranicza geometrycznej abstrakcji. Zastosowanie azurów, „do-cinanie” pewnych wybranych form, koncepcja przekraczająca tradycyjne rozumienie fotografii, wysoka jakość techniczna wykonywania rzeczywistości o takiej formie, że trzeba szukać nowych określeń, aby ją zwerbalizować i zdefiniować. Twórcza innowacyjność zaprezentowana na tej wystawie przez Czesława Łuniewicza nie ma nic z działań przypadkowych, znalezionych „po drodze” lecz wynika z logiki przemysłu i konceptualnych założeń, które artysta wspomaga swoją wiedzą inżynierską i konstrukcyjną. Linie widoczne w płaszczyznach styku metalowych konstrukcji, regularność układów, ich czytelność i logika, powielanie wybranych motywów pomiędzy ramionami dźwignów, ukazanie życia na tle zniszczonego środowiska, erotyzm zakotwiczony niejako w naszej podświadomości stworzył świat ciekawy, warty przemysłu i

przeżycia. Zastosowane wycięcia przywodzą na myśl gotykę i okna, których wspaniałość powstała, o paradoksie, w —wyniku zniszczenia ścian zbudnych w konstrukcji, gdyż nie dźwigających sklepień czy konstrukcji zadaszenia. Ta wystawa tworzona przez długi czas jest mistrzowskim popisem warsztatowym i poświadczeniem, że nie trzeba odrzucać się od niezbyt długiej tradycji fotografii artystycznej, aby demonstrować jej niekończące się możliwości.

To nowe pole zakreślił Łuniewicz w sposób wręcz fascynujący i trzeba tutaj podkreślić, że przekraczanie definicji fotografii nie zostało zaproponowane w drodze eliminacji jej technik rozwojowych od samych narodzin a także jej zdobyczy laboratoryjnych, tych z ostatnich lat. Tendencje w plastyce z zakresu kolażu i instalacji stały się dla Łuniewicza impulsem, aby wzbogacić tę dziedzinę poprzez fotografię i z tej próby wyszedł on z pozytywnym rezultatem. Sztuka współczesna rozwija różn techniki i sposoby interpretacji zjawisk materialnych, aby z najwyższą wrażliwością odczytać kondycję duchową człowieka i społeczeństwa. Te przed sięwzięcia dają szansę wyboru uczestnictwa w spektaklach twórczych naszych czasów. Człowiek indywidualny ma coraz większą szansę dokonywania świadomego wyboru i akceptacji takiej formy interpretacji świata, na którą znajdzie wewnętrzną zgodę.

To poczucie wolności w zakresie wyboru zjawisk artystycznych jest fundamentem nie tylko rozwoju sztuki, ale przede wszystkim autentycznego w niej uczestnictwa.

Artysta fotografik Czesław Łuniewicz wyszedł z nową, ciekawą, nader współczesną propozycją. Wystawa czynna jest w gmachu Wyższej Szkoły Pedagogicznej przy ulicy Wojska Polskiego w Zielonej Górze.

JAN MUSZYŃSKI

Z TEK! PROKURATORA

OSTROŻNIE NA DROGACH

Jesienna pogoda sprzyja wypadkom na drogach, a jeśli do tego dojdzie jeszcze alkohol... Do tragicznego w skutkach wypadku doszło min. na drodze między Szprotawą a Wiechlicami. Kierujący samochodem „Fiat 125” Mirosław L. wyprowadził go z drogi, doprowadził do zderzenia z nadjeżdżającym z przeciwka „Fiatem — 126”. Wskutek zderzenia kierowca i pasażer malucha ponieśli śmierć na miejscu. Postanowieniem Prokuratora Rejonowego w Zaganianiu sprawca wypadku został tymczasowo aresztowany.

ROZBOJ

Wracających z przyjęcia okolicznościowego z okazji Dnia Nauczyciela w Nowej Soli małżonków S. zaatakowało bez powodu dwóch mężczyzn. Obywatel S. został przez nich dotkliwie pobity a jego małżonka utraciła podczas zajścia torebkę z dokumentami. Podjęte natychmiast milicyjne poszukiwania założyły się powodzeniem. Dysponujący opisem wyglądu sprawców funkcjonariusze RUSW już w ciągu kilku godzin zatrzymali Bogumiła W. 29-let

niego. tokarza w NFN „Odra” oraz Stanisława D. 30-letniego piekarsza za trudnionego w prywatnym zakładzie rzemieślniczym. Obaj są mieszkańcami Nowej Soli i obaj już byli karani sądownie za różne przestępstwa. Mając na uwadze znaczny stopień społecznej niebezpieczeństwa czynu podejrzanych oraz ich powrót do przestępczej działalności prokurator zastosował wobec obu areszt tymczasowy.

POŻAR W ARESZCIE

Prokurator Rejonowy w Nowej Soli prowadzi śledztwo w sprawie pożaru będącego w trakcie remontu budynku Aresztu Śledczego w Nowej Soli. Pożar wybuchł 11 października br. w godzinach przedpołudniowych, w strychowym części budynku mieszczącej się nad 2 kondygnacją. Przechowywano tam łatwopalne materiały: łóżkowe. W momencie zauważenia ognia w pomieszczeniach aresztu nie było żadnych osób, chociaż wcześniej wykonywano tam prace związane z remontem konstrukcji dachowej. Prace te wykonywali więźniowie. W wyniku pożaru żadna z osób nie uciekła. Zniszczeniu uległo jednak około 120 materacy oraz uszkodzona została część konstrukcji dachowej. Łączne straty wynoszą około 500.000 zł. Warto dodać, że pożar zagrażał bezpośrednio obiektom Sądu Rejonowego i pozostałej części Aresztu Śledczego. Rozwojowi

pożaru zapobiegła szybka i skuteczna akcja jednostek straży pożarnej w Nowej Soli. Zakłada się, że pożar mógł być następstwem zaprószenia ognia, ale nie wyklucza się innej jeszcze przyczyny zaistnienia pożaru. W śledztwie w tej sprawie badane są wszystkie możliwe wersje zdarzenia.

SPEDYTOR

Prokurator Wojewódzki przekazał do Sądu Rejonowego w Świebodzinie akt oskarżenia przeciwko Georgowi Marczukowi, właścicielowi firmy przewoźowej „Pacot-Service” w Berlinie Zachodnim. Zarzucił mu w szczególności, że od listopada 1984 r. do listopada 1985 r. trudniąc się przewozem paczek dla odbiorców w Polsce i będąc zobowiązany do uiszczenia na rzecz Przedsiębiorstwa Spedycji Międzynarodowej „C. Hartwig” określonych kwot w walucie USA za przesyłki w zależności od ich jednostkowej wagi — zorientowany się, że przesyłki z uwagi na ich dużą ilość nie są dokładnie przeliczane i sprawdzane — przedstawił niepełne listy i podstępnie uzyskał potwierdzenie przewozu mniejszej ilości paczek, w rezultacie czego nie wpłacił na rzecz PSM „Hartwig” i przez to wyłudził około 5 000 dolarów USA a nadto naraził skarb państwa na uszczerbek cła w kwocie ponad 64 tysiące zł.

LEX

70-lecie niepodległości

Na Ziemi Lubuskiej, podobnie jak w całym kraju, uroczystości obchodzone 70. rocznicę odzyskania niepodległości Polski. W Zielonej Górze z inicjatywy Rady Wojewódzkiej PRON odbył się w Filharmonii Zielonogórskiej im. Tadeusza Bairda uroczysty koncert, poprzedzony wystąpieniem prof. dr hab. Mariana Eckerta, który mówił o roli narodu w odzyskaniu niepodległości i budowie państwa polskiego w 1918 r. Orkiestra Symfoniczna Filharmonii pod dyktando Czesława Grabowskiego wykonała uverture do opery „Halka” Stanisława Moniuszki, uverture koncertową „W Tatrach” Władysława Żeleńskiego, poemat symfoniczny „Step” Zygmunta Noskowskiego i mazurę z „Halki”. Fantazję polską na fortepian i orkiestrę Ignacego Jana Paderewskiego grał z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej pianista Karol Schmidt. Trzy pieśni Fryderyka Chopina wykonała Henryka Januszewska (sopran) z towarzyszeniem Ryszarda Zimnickiego (fortepian). Utwory Cypriana Kamilla Norwida, Czesława Miłosza i Mariana Wolskiego recytował aktor „Ateneum” w Warszawie Marian Opania.

Na koncert przybyli przedstawiciele władz, partii i stronnictw sojuszników, PRON, Wojska Polskiego, WUSW, WPZZ, kombatanci i weterani wojny — członkowie ZBoWiD, organizacji młodzieżowych i społecznych, Stowarzyszenia PAX, nauki i oświaty, kultury i sztuki.

W Gorzowie uroczysta akademii w Teatrze im. J. Osterwy rozpoczęła się odegraniem przez orkiestrę wojskową hymnu narodowego i „Roty”. Z okolicznościowym przemówieniem wystąpił przewodniczący Rady Wojewódzkiej PRON Tadeusz Biczysko. W przemówieniu, przed rozpoczęciem przedstawienia „Powrotu Posła” J.U. Niemcewicz, uczestnicy akademii obejrzyli zorganizowaną w holi teatralnym wystawę fotograficzną i współczesnych plakatów związanych tematycznie z rocznicą odzyskania niepodległości.

71 lat po Październiku

„Wozwraszczenie” (powrót) — to słowo, które robi karierę i najczęściej powtarza się w wypowiedziach publicznych w Związku Radzieckim. Powrót do ideałów wielkiego Października, „Droga okazała się długa, trudna, często daleka i na długo odchodząca od ideałów, w imię których historia dała ludzkości ten dzień 7 listopada. Kto powie, że przeszliśmy ją do końca? Kto ośmieli się przekonywać, że wszystko co najtrudniejsze jest za nami? Nie ma takich. Za to jest wśród nas немало ludzi, którzy liczą, że kontynuujemy błąkanie się w półmroku i nie wiadomo jeszcze dokąd nas zaprowadzi drogowy napis z napisem „piętrostojka”. Jeśli zastanowimy się nad tym co się dzieje, jeśli wpatrzymy się w to co tworzymy naszymi własnymi rękoma, dostrzeżemy: nie błąkamy się, szukając powrotu na drogę, na którą wstąpiliśmy w Październiku 1917 roku — napisaliśmy w swym artykule wstępnym poświęconym 71 rocznicy Rewolucji Październikowej „Moskowskie Nowosti”. To co dzieje się teraz w Kraju Rad jest nam szczególnie bliskie. Wszakże i my czynimy wiele, aby socjalizm był bliższy ludziom. Akcentowano to szczególnie w czasie obchodów 71. rocznicy Rewolucji Październikowej w całej Polsce, także na środkowym Nadodrzu.

Dni Filmu Radzieckiego

W Gorzowskim i Zielonogórskim rozpoczęły się Dni Filmu Radzieckiego. W gorzowskim kinie „Kopernik” zainaugurowano je pokazem filmu El-dara Riazanowa „Zapomniana melodia na flet”. W kinach całego województwa w ramach „Dni” wyświetli się kilkadziesiąt tytułów filmowych, w tym kilka premierowych.

W Zielonej Górze przegląd filmów radzieckich rozpoczął obraz Aleksandra Proszkina pt. „Chłodne lato 53”. W licznych kinach odbywały się specjalne pokazy organizowane dla młodzieży szkolnej oraz załóg zakładów pracy. Organizatorzy tegorocznych „Dni” przygotowali interesujący program. Większość prezentowanych filmów dotyczy bowiem historii ZSRR oraz aktualnych problemów związanych z procesem reform, zmieniających oblicze Kraju Rad.



Konkurs piosenki radzieckiej

Rozpoczął się XXVIII Ogólnopolski Konkurs Piosenki Radzieckiej. Do eliminacji rejonowych konkursu zostało jeszcze parę miesięcy. Eliminacje wojewódzkie odbędą się na początku marca przyszłego roku. Uczestnikami konkursu mogą być piosenkarze, amatorzy parający się śpiewaniem. Swoją rolę mogą zagrać także solistów także zespoły — instrumentalne i wokalne — do oktetów włącznie. Każdy wykonawca powinien przygotować dwie piosenki kompozytorów radzieckich. Obowiązkowo jedna z piosenek winna być wykonana w języku polskim. Pomocą w wyborze repertuaru służyć będą instruktorzy domów kultury. Obecna edycja konkursu odbywa się w roku 45-lecia Polski Ludowej a także 25-lecia Festiwalu Piosenki Radzieckiej. Z tej okazji Krajowy Komitet Konkursu proponuje uczestnikom przygotowanie nadobowiązkowej, trzeciej piosenki, popularnej po dekadzie poprzednich festiwali. Najlepsi z wykonawców będą mieli okazję wystąpić w specjalnym festiwalowym koncercie pt. „Tak rodziła się przyjaźń”.

Konwent Obywatelski w Gorzowie

W Gorzowie utworzony został Konwent Obywatelski przy przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej, który zwrócił się z propozycją uczestnictwa w pracach tego społecznego gremium do przedstawicieli wielu środowisk społecznych, zawodowych i światopoglądowych. Ostatecznie swój akces zgłosiło 28 osób (w tym 7 z PZPR, 3 z SD, 2 z ZSL oraz 14 bezpartyjnych), zaś 3 odmówiły przyjęcia zaproszenia. Decyzją Konwentu miejsca te są traktowane jako wakaty. Próby ustalenia zakresu zainteresowań Konwentu dowiodły, że w dyskusjach należy się spodziewać wielu przeciwnych stanowisk i opinii. Obrady tego forum mają mieć charakter konsultacyjny i wnioskujący. Ustalono, iż posiedzenia Konwentu będą się odbywać raz na kwartał oraz na wniosek przewodniczącego WRN. Najbliższe spotkanie ma być poświęcone omówieniu perspektyw rozwoju województwa gorzowskiego do 2000 r.

Zaprosili nas

Rada Wojewódzka Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego i Filharmonia Zielonogórska im. Tadeusza Bairda w Zielonej Górze na uroczysty koncert z okazji 70-lecia rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę; Komitet Wojewódzki i Miejski PZPR oraz Zarząd Wojewódzki TPPR w Zielonej Górze na uroczysty koncert z okazji 71. rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej; Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie na premierę „Indyka” i „Zabawy” Sławomira Mrożka; Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze na premierę „Dawno, dawno temu” A.A. Milne’a; BWA w Zielonej Górze na otwarcie wystawy malarstwa Stanisława Puchlika z Krakowa; Zagański Pałac Kultury na wernisaż wystawy ekslibrisów ze zbiorów Haliny i Zdzisława Dąbków z Zar; Młodzieżowe Laboratorium Fotograficzne na otwarcie dorocznej wystawy fotograficznej zorganizowanej z okazji V rocznicy powstania MLF; BWA w Gorzowie na otwarcie wystawy Grafiki i Metaloplastyki Eckharda Hermanna; Galeria „Po” na „Instalację” Jerzego Grzegorskiego. Dziękujemy.

rekta: Maria Fiedorowicz. Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 55, 61-412 Zielona Góra, skrytka pocztowa 81. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor naczelny: Zbigniew Plekiewicz tel. 71-35. Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra ul. Reja 3. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (teksty i zdjęcia) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróć i zmian tytułów.

Zam. 1270

Z-20



W kawiarni na Manhattanie siedzi Charlie Driggs (Jeff Daniels, pamiętny bohater filmu Woody Allena „Róża Kairu”), który jest skromnym i sumiennym pracownikiem banku. Jego marzenia nie sięgają zbyt wysoko. Jest szczery, właściwie awansował na zastępcę szefa.

Gdy opuszcza lokal, pojawia się nagle Lulu. Ekstrawagancki strój, czarna fryzura, czerwone usta. Dziewczyna równie fascynująca, co niebezpieczna. Taka, jeśli sobie coś postanowi, zawsze postawi na swoim.

Tak się też dzieje i teraz. Lulu energicznym ruchem odsuwa Charliego od kierownicy i wsiada do jego wozu. Zachowuje się wyzywająco. Podciąga spódnicę tak, że widać jej całe uda. Charlie nie nawykł do takich widoków.

Od tej chwili dzieje się rzeczy niepojęte. Lulu okrada sklep z alkoholem, pije whisky z butelki i rozrabia niemiłosiernie. Na nic zdają się protesty Charliego. Lulu porzuca go i wchodzi do pokoju hotelowego. Tam wykonuje przed nim stripteas — w sposób, który Charlieemu zapiera dech w piersiach. W rezultacie za-

biegi pięknej dziewczyny osiąga ją skutkiem w łóżku.

Ale to nie koniec. Szalona Lulu zabiera Charliego do Pensylwanii, gdzie mieszka jej matka. Charlie chce — nie chce — udaje przed „leśnicową” nowego męża Lulu. Ona sama zaś, o dziwo, przeistacza się z czarnej fanny-fatale w słodką blondynkę Audrey...

Charlie prawdopodobnie nie może się w tym wszystkim polapać (podobnie zresztą, jak widz). Nie pozostaje mu nic innego, jak poddać się ekspansywnej przyjaciółce i odgrywać przed ludźmi rolę jej szczęśliwego małżonka.

Ta sztuczna idylla zostaje dość brutalnie przerwana nagłym pojawieniem się Ray’a. Kim jest Ray? Otóż jest on przede wszystkim ekstremalnym typem „macha”, silnym, męskularnym i zdecydowanym na wszystko. Poza tym, co gorsze, prawowitym mężem Lulu-Audrey. Właśnie wyszedł z „kiccia”, jest spragniony kobiecego ciała i ostro domaga się należnego mu przy boku żony miejsca, które zajmuje, wprawdzie nie z własnej woli, ale jednak — bankowiec Charlie Driggs.

W tym momencie w filmie dzieje się coś w rodzaju katastrofy. Komedia zamienia się w thriller...

Film zaczyna się i kończy w Nowym Jorku, ale w środku ukazane jest całe piekło amerykańskiej prowincji. Jest o czym myśleć. Widzowi, który widział „Blue Velvet” z Isabellą Rossellini, nasuwa się porównanie z tym filmem.

Ale „Something Wild” — „Coś dzikiego”, ma znacznie większe tempo i bardziej zaskakującą akcję. Dowodzi m. in., że mężczyzna w typie lekkiego nudziarza, może czasem spotkać na swej drodze kobietę, z którą w ciągu jednej

nocy dozna takich przeżyć, o jakich nigdy nie marzył. Pozwała widzowi rozstrząsać i uwierzyć w możliwość, a tym samym wyżyć się kompleksów...

Jak salwy z kulomiotu leżą na ekranie gąs z gagiem i gonią za sobą zdarzenia oraz sytuacje, dzięki czemu akcja posuwa się z niebywałą szybkością. Jedną z postaci w filmie wygłasza zdanie, że Ameryka jest „bijącym pulsem naszych czasów”.

Z takich właśnie większych i mniejszych „prawd i półprawd” o Ameryce, reżyser Jonathan Demme zbudował ten film, ładując w nie zarówno wiezowiec Manhattanu, jak też ową płaską „piekielną” prowincję, zaś w konstrukcję fabuły wkomponował typowe dla Ameryki lat 80-tych, zwariowane postaci.

Są więc w filmie chłopco-dziewczyny i dziewczyno-chłopcy, groźnie wyglądający „machos” w swych czarnych skórach oraz elegancy „yuppies” ubierający się w lekkie jedwabie i odżywający kawiorami.

Nastroju epoki przydaje filmowi muzyka Dawida Byrne’a i jego grupy. Ten nastrój i to tempo spotkać można w paru innych filmach, które zawędrowały do nas na kasetach video, jak np. „Blind Date” reżysera Blake’a Edwardsa, film Susan Seidman z Madonna w roli głównej lub w obrazie Martine’a (twórcy skandalicznego filmu „Ostatnie kuszenie Chrystusa”) Scorsese’a pt. „Czas po północy”. A pamiętacie „Ten cały zieleń”? Ten film można by zatytułować „Ta cała Ameryka”, choć opowiada on tylko o życiu jednostek.

EWA FOSS



Poczty wojskowe

Wydawnictwo Literackie w Krakowie od wielu lat przygotowuje na zlecenie Zarządu Głównego Polskiego Związku Filatelistów reprinty wydawnictw, które na trwałe weszły do polskiej literatury filatelistycznej, w 70. rocznicę odzyskania niepodległości opublikowało dwie prace Władysława Kowarzewskiego ze Lwowa „Poczty wojskowe” i „Poczty wojskowe na ziemiach polskich w latach 1914-1919” wydrukowane w okresie międzywojennym jako są modzelem tomiki Biblioteki Ilustrowanej go Kuriera Filatelistycznego (Kolo-myja).

Autor, wybitny znawca tematu, dyrektor poczty polowej IV armii austriackiej we Lwowie, następnie w 1917 r. w Udine (Północna Italia), od powstania państwa polskiego w czynnej służbie pocztowej jako prezes Dyrekcji Poczty i Telegrafów w Lublinie w pierwszym opracowaniu omawia poczty optyczne, pocztę, gołębie, pocztę do przewożenia. Szczególnie wiele miejsca poświęca pocztom polowym w Niemczech i Austrii. Specjalny rozdział poświęcił znaczkom pocztowym, różnego rodzaju drukom, jak kartki pocztowe wojskowe, a także cenzurze wojskowej. Można też pracę śmiało potraktować jako obszerny wstęp do następnego opracowania.

W drugiej pracy w dwudziestu rozdziałach daje panoramiczny obraz pocztowych urzędów wojskowych na ziemiach polskich, a więc poczty Legionów Polskich, wojsk austriackich, niemieckich, rosyjskich. Omawia też funkcjonowanie służb doręczeń pocztowych dla ludności cywilnej (poczty miejskie). Ciekawie podane są rozdziały dotyczące funkcjonowania poczt wojskowych na ziemiach wschodnich w 1919 r. Obaj o-

pracowania są pogato ilustrowane (w reprodukcji), zawierają też liczne odciski stempli poczt wojskowych. Zamyka te stemple datownik urzędu pocztowego czynnego w czasie manewrów wojskowych w 1935 r. Dodatkowy wykaz i no tatki gen. Jakóba Salickiego b. szefa Centralnego Zarządu Poczty Polowych

dotyczące organizacji poczt polowych w czasie od 1. 02. 1919 do końca sierpnia 1920 r. zamykają całość tego opracowania.

Filatelisci otrzymali kolejną pozycję, tak niezbędną dla poznania początków kształtowania się pocztowości w odrodzonej Polsce.

M. SŁAWOMIR

Bez kurtuazji

Młodzieżowe Laboratorium Fotograficzne

Taką nazwę obrała sobie przed 5 laty grupa młodych zapaleńców, tym sposobem przekształcając dotychczasową sekcję fotograficzną w Klubie „Uśmiech” w Zielonej Górze w autentyczny towarzyski klub miłośników fotografii. Dzięki finansowemu wsparciu Zielonogórskiej Spółdzielni Mieszkaniowej mają dziś warunki do rozwijania swego hobby. A takich warunków nie ma nawet Lubuskie Towarzystwo Fotograficzne. Jak mało kto, przywiązują ogromną wagę do dokumentacji, pieczołowicie rejestrując najdrobniejsze zdarzenia. Są w wieku od 17 do 25 lat. Działają dziś w składzie: Beata Baran, Piotr Dudek, Paweł Janczarski, Krzysztof Jodko, Radosław Kłosiński, Mirosław Krzyżanowski, Witold Płociński i Waldemar Schmidt. Oprócz jednego, są równocześnie członkami LTF. Organizując wspólne plenery, wystawy, głównie w „Uśmiechu”, uczestniczą w konkursach, ostatnio z coraz większym powodzeniem.

Jeszcze rok temu ich wystawa w „Uśmiechu” była typową dla sekcji fotograficznej, działającej przy domach kultury, zaś człon „Laboratorium” to nazwie zdawał się wówczas spór przesadą; kojarzył się choćby z awangardowym teatrem lecz w ich pojęciu jest: pracownią, ciemnią fotograficzną.

Jubileuszowy pokaz MLF, który w listopadzie br. eksponował zielonogórski Klub MPiK objął 70 fotografii w autorskich zestawach w technice czarno-białej. Wywołany, dobry poziom wykonania dowiódł, że

w ciągu roku ci młodzi opanowali umiejętności laboratoryjne obróbki. Także, iż fascynuje ich estetyzowanie. Część z nich pokazała fotografie przedstawiającą i opartą tylko na obrazie zastanym, który ich zaintrygował — np. pocztówki z wakacji, architektura, pejzażowe impresje, spojrzenie na manekiny za szybą, „Zapomniane mogiły”, czy pomniki — „Martwe dusze”. Natomiast inni, zaletnie od skali i predyspozycji wyobraźni, w niektórych pracach zbliżyli się do estetyki konceptualizmu, czasem surrealistu, przedstawili wizualne efekty ruchu, lub zaznaczyli swoimi pracami wyraźne znamiona kierunku określanego jako wizualizm.

Wydaje się, że w MLF najbardziej dojrzały twórczo są P. Janczarski, M. Krzyżanowski i W. Płociński. Pierwsi z nich łączą także efekty fotograficznego obrazu i kolorowego rysunku. Jednakże obserwując poczynania fotoamatorów z MLF przy okazji różnych spotkań, odnoszę wrażenie, że ich fascynacja fotografią po leża raczej w naśladowaniu innych gdziekolwiek oglądanych prac na zasadzie prostego odczucia (podobna się lub nie), niż na w pełni świadomym tworzeniu obrazu, opartym na znajomości alfabetu sztuki fotograficznej.

Toteż, zupełnie jubileuszowo, żyć im zachowania żartów w poszukiwaniu własnych środków wyrazu, mniej buńczucznej postawy a ponadto — owocnych dyskusji na temat znacznie bardziej pasjonujących teorii tworzenia.

ELŻBIETA LEŃSKA



DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I piętro oraz dla korespondencji: 65-533 Zielona Góra 5, skrytka pocztowa 48. Telefon: redaktor naczelny 784-35, sekretariat 39-13 oraz centrala 46-61 do 67 (dla telefonów wewnętrznych). Telex 942223. Redaguje kolegium: Halina Aska-Skarbek, Janusz Koniusz (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelnego), Wiesław Nodzyński, Ryszard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf.-tech.). Ko-